

W NUMERZE: Uwaga: rodzina! ■ Maj 1905 roku w fabrycznej Łodzi ■ Burza w szklance... mleka ■ Utrwalanie rzeczy i zjawisk ■ Wyrazić tajemnicę świata ■ Szczęście to taka osobista sprawa ■ Lot ze złamanym skrzydłem ■ Recenzje

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 23 (1174) ROK XXIII

8 CZERWCA 1980 R.

CENA 3 ZŁ

U SCHYLEKU DNIA

RYSZARD BINKOWSKI



Foto: R. Łucyszyn

Wież Wykno leży pod lasem, przy piaszczystej drodze, cienko zarzuconej tłuczniami, i sprawia wrażenie wymarłej. Pola puste, w słońcu i so- czystej zieleni, ani człowieka, ani zwierzęcia, ani maszyny. Przed do- mami stoją puste bańki, pozostawio- ne przez wozaka, a już po południu. Jest światło elektryczne, czteroklaso- wa szkoła podstawowa, blisko do po- ciągu, akurat dygni pod lasem paro- wóz; do Ujazdu niedaleko, jeszcze bliżej do Niewiadowa. Może dlate- go we wsi tak pusto? Nawet sołtysa nie ma. U sołtysa, którym jest kobie- ta, nowy dom, otynkowany, kupa gruzu pod budowę pomieszczeń in- wentarskich; drzwi werandy zadruto- wane, luźno puszczony czarny pies ujada zaciekle nie wpuszczając do podwórza.

Ide przez wieś, rozglądam się. Wszędzie tak samo: w zagrodach ci- cho, sennie, tylko czasem zaszcza- ka pies. Większość chałup i budynków inwentarskich pod słomą, obejścia zaniedbane. W tym pejzażu raz i czer- wienia świeżo wzniesiony dom, nie wykończony, ale już z powybitymi szybami, a z tyłu zapadnięte krokwie, postrzępiona, zmuszająca strzechy. Jest w tym coś opacznie symbolicznego, bo jak się dziś jedzie przez wieś, to widać przy drodze stare chałupiny, a za nimi piękne stodoły, chlewnie, obory. Mądry go- spodarz najpierw buduje sobie war- sztat pracy, na którym zarobi pie- niądze na nowy dom. W Wyknie znalazłem tylko jedno takie obej- ście: z przodu drewniana chata, w podwórzu nowa obora i piękna sto- doła. Bo tutaj na trzydziści dwa gospodarstwa prawie połowa, jak się to brzydko mówi, jest już na wy- marciu. Kilka już dość dawno zginę- ło śmiercią naturalną.

Przypomniałem sobie, że w Ujeź- dzie przy dwóch rynekach stały dzie- siątki wozów konnych. W poniedział- lek targ, czyli „święto dyszla”, a więc chłopów wymiotło ze wsi. In- żynier Kuczewski, którego białego fiata zatrzymaliśmy pośrodku Wy- kna, zapytał potem:

— A pan przyjrzał się dokładnie chłopskiemu turmankowi na targu?
— Owszem, ale nie szczególnego nie dostrzegłem.
— Co było na wozach?
— No, były raczej puste.
— A widzi pan! Bo oni jeżdżą tam z nawyku, żeby chociaż pogadać i popatrzeć. Tak podtrzymują swoją chłopskość, kulturową tradycję. A ziemia niech leży, niech sama rodzi...

Dalszy ciąg na str. 3

GRAFIKA PABLA PICASSA



Kilka okoliczności składa się na fakt, iż wystawa grafik Pabla Picassa jest wydarzeniem artystycznym najwyższej rangi. Jest to pierwsza tak du- ża wystawa grafik artysty, udostępniona publiczności kilku polskich miast. 347 grafik wchodzących w skład wystawy pochodzi ze zbiorów prywatnych prof. Petera Ludwiga z Akwizgranu, który nie tylko opracował wystawę merytorycznie, ale w całości pokrywa zarówno wszelkie koszty jej eksploa- tacji w Polsce, jak i koszty wydrukowania pięknego katalogu. Cały zaś do- chód ze sprzedaży tego bibliofilskiego wydawnictwa przeznacza fundator na rewaloryzację zabytków Krakowa.

Najistotniejszą jednak wartością wystawy jest fakt, iż prezentowane przez nią grafiki, stworzone w ciągu 7 miesięcy — od 18.03.1968 do 5.10.1968 przez osiemdziesięcioletniego Picassa, są wspaniałym ukośnieniem jego wiel- kiego i wszechstronnego dzieła. Na cykl ten składają się w większości ryciny wykonane w technice akwaforty i akwatinty.

W roku następnym przypada setna rocznica urodzin wielkiego artysty. Choć tylko raz Pablo Picasso odwiedził Polskę — był na pamiętnym Kon- gresie Intelktualistów we Wrocławiu — jego związki z naszym krajem były tak żywe, że mogła powstać książka pod tytułem „Picasso w Polsce” — do- kument fascynacji polskiego środowiska artystycznego dziełem Mistrza. Tył- ko cztery instytucje w Polsce posiadają w swoich zbiorach oryginalne dzieła Pabla Picassa. Są to: Muzeum Narodowe w Warszawie, Muzeum Narodowe w Gdańsku, Gabinet Rycin Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego i Muze- um Sztuki w Łodzi.

Z tego również względu Łódź, po Krakowie, który był niejako sprawcą powstania projektu wystawy, będzie drugim miastem w Polsce goszczącym wielką wystawę grafik Pabla Picassa. Wystawa trwać będzie od 8 czerwca kiedy nastąpi jej uroczyste otwarcie, do końca lipca 1980 r.

EUGENIUSZ IWANICKI

POTOP NA RETKINI

W czasach, kiedy technika ogrzewania mieszkań dopiero raczkowała, stosowano cięż- kie, nieestetyczne kaloryfery żeliwne. Szpecili nieco wygląd mieszkań, ale grzały, i to przez dziesiątki lat. W powo- jennej Polsce, w pierwszych blokach mieszkalnych, także instalowano kaloryfery żeber- kowe i lokatorzy owych do- mów do dziś nie mają z nimi kłopotów.

Moda się jednak zmieniła, prawie cała Europa od dawna stosuje nowe typy kaloryfe- rów, które w porównaniu z o- wymi żeliwnymi, wyglądają jak kochuch przy kwiatku. Z dość dużym opóźnieniem Cen- tralny Ośrodek Badawczo-Roz-

Dalszy ciąg na str. 4, 5

1. Szkicowanie sylwetki pisarza z rocznicowej okazji jest zawsze przedsięwzięciem ryzy- kownym — po prostu nale- żałoby o wszystkim, co z da- nym autorem się wiąże, napi- sać możliwie szczegółowo i wy- czerpująco, dać wszechstronną informację, przedstawić umo- tywowaną ocenę. Studium tak- kie służy rzeczy przybrałoby z pewnością wcale pokorne roz- miary. Jakże więc w skrom- nym artykule powiedzieć wy- starczająco wiele o autorze, co wybrać z bogatego dorobku, jakie tropy interpretacyjne u- znać za najważniejsze? Tym razem pytania owe i wtpli- wości towarzyszą refleksji nad życiem i dziełem Tadeusza Chrościelewskiego — pisarza, poety, tłumacza, edytora i działacza kulturalnego. Okazję stwarza sześćdziesiąta rocznica Jego urodzin, przypadająca 3 czerwca.

Jest on typowym i nietypo- wym zarazem przedstawicielem pokolenia Kolumbów. Typo- wość polega na biograficznych powikłaniach, nietypowość o- kreślona zostaje specyfiką li- terackiego rozrachunku. Tadeusz Chrościelewski uro- dził się w Mińsku Mazowiec- kim. Fakt ten jest istotny o tyle, iż rodzinne miasto niezwy- kle często pojawia się w twór- czości autora „Rodziny Jedno-

roźców”, przedstawiane z sen- tymentem i humorem. Ojcowie mazowieckiego grodu odwdzię- czyli się przyznając Chroście- lewskiemu w roku 1969 Hono- rowe Obywatelstwo Mińska Mazowieckiego. Jeszcze jako uczeń tamtejszego gimnazjum o- głosił pierwsze swe wiersze na łamach tygodnika „Życie Pod- lasia” w 1937 roku. Rok później rozpoczął studia polonistyczne i rusycystyczne na Univer- sytecie Warszawskim. Przerwa-

UTRWALANIE RZECZY I ZJAWISK

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

ne przez wybuch wojny stu- dia kontynuował od 1942 roku na tajnym uniwersytecie. U- częstniczył w podziemnym ży- ciu literackim warszawskiej młodzieży akademickiej, sku- pił się wokół „Sztuki i Naro- du” oraz „Drogi”. W 1944 roku opublikował kompromisyjny to- miki poezji pt.: „Uczta Aurelia- na”, sygnując go pseudonimem: Tadeusz Rokitnicki. Tomik ten ukazał się w nakładzie 30 eg- zemplarzy z inicjatywą tajnego

Koła Akademickiego w Mińsku Mazowieckim.

W końcu 1945 roku Chroście- lewski zawitał do Łodzi. W książce „Tranzjtem przez Łódź” tak pisze o sobie z tam- tego okresu: „Można by snuć (...) opowieść o młodym czło- wieku, napompowanym — ma- ło nie pęknie — rozmaitymi u- czonościami polonistycznymi i rusycystycznymi. Właśnie wówczas zdobył magisterium, jedno z pierwszych, w kilku-

ogarnięcia myślą i czuciem, nieprzystawalne do norm etycz- nych i historyzoficznych, w których się wychował, drapie- żne, dynamiczne, nie zawsze sprawiedliwe, pospieszne, od- budowujące, a jednocześnie bu- rzące i przebudowujące w kształt „do niczego przedtem niepodobny” — owo Coś, dla którego nie ukuto jeszcze ter- minu-stereotypu: „otaczająca rzeczywistość”. Fragment ten wart jest bacniejszej uwagi —

w nim bowiem w sposób syn- tetyczny niejako zawarta zo- stała treść wielu utworów Ta- deusza Chrościelewskiego, usi- łujących właśnie „owo Coś” uchwycić, pokazać całą zło- żoność oraz dynamikę czasów tuż powojennych, różnie ukierun- kowane nadzieje odradzającego się życia. „Zaraz po wojnie” (tak pierwotnie nazywał się „Popiół i diament” Jerzego An- drzejewskiego) — to okres, do

którego Chrościelewski często i chętnie powraca.

Tymczasem w nowo otwar- tym Uniwersytecie Łódzkim po- dają pracę jako asystent w Ka- tedrze Literatury i Języka Ro- syjskiego, prowadzonej przez profesora Sergiusza Kułakow- skiego. Jednocześnie pracował jako nauczyciel szkoły średniej. Nieco później współredagował dział przekładów i literatury słowiańskich w tygodniku „Wies”. W 1950 roku został członkiem Związku Literatów Polskich. W ciągu trzydziesto- letniej przynależności do lite- rackiej organizacji spełniał roz- maite funkcje w Zarządzie Od- działu Łódzkiego ZLP. Ze szkol- nictwa przeszedł do Wydziału Kultury Prezydium Rady Na- rodowej miasta Łodzi. W 1959 roku podjął pracę w Wy- dawnictwie Łódzkim i pracuje w nim do dnia dzisiejszego na stanowisku starszego redaktora. Edytorska działalność Tade- usza Chrościelewskiego obej- muje między innymi: poświęco- ny poezji współczesnej alman- ach „Rzecz Poetycka”, prowa- dzony po odejściu Stanisława Czernika cykl „Biblioteka Po- etów”, dwa tomy „Książ hu- moru polskiego”, opracowanie

Dalszy ciąg na str. 9

▲ W ostatnich trzech dniach maja, Łódź gościła kilkunasto-osobową grupę dziennikarzy z całego kraju — członków Klubu Publicystów Polityki Kulturalnej SDP. Tematem dziennikarskiej sesji była Łódź jako centrum kultury.

Goście zwiedzili Muzeum Historii Miasta Łodzi, Centralne Muzeum Włókiennictwa, złożyli też wizyty w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, Wytwórni Filmów Fabularnych, Wytwórni Filmów Oświatowych, SMFF „Semafor”; ponadto zapoznali się z problemami środowiska literackiego, ze stanem łódzkiej zabudowy i przedstawicielami teatralnymi.

W ostatnim dniu sesji, gości przyjął prezydent Miasta Łodzi Józef Niewiadomski. W spotkaniu uczestniczył również wiceprezydent, Zbigniew Polt.

▲ Z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka prezes Rady Ministrów przyznał doroczne nagrody za twórczość artystyczną dla dzieci i młodzieży. Wśród nagrodzonych znaleźli się łódzcy twórcy: w dziedzinie teatru laureatem został Teatr Lalek „Arlekin”; Alina Czerwińska, Mieczysław Gryglas, Anna Janisz, Zdzisław Owsik, Liliana Ochmańska, Stanisław Ochmański, Anna Panasiewicz, Antoni Roszkowski, Teresa Sawicka, Janusz Upias — za twórczość artystyczną i upowszechnianie sztuki wśród dzieci i młodzieży. W dziedzinie muzyki: Jerzy Bauer — za twórczość kompozytorską, w szczególności na utwory instrumentalne „Czerwone i czarne” oraz „Wariacje oberkowe”; Andrzej Hundziak za twórczość kompozytorską, a w szczególności za baśń sceniczną „O królowie co spać nie chciała”.

▲ Z okazji Dnia Dziecka w sobotę i niedzielę (31.05. i 1.06.) Teatr Wielki zaprosił najmłodszych widzów na premierę baletu Piotra Czajkowskiego „Dziadek do orzechów”. Przedstawienie zrealizowano pod kierownictwem muzycznym Piotra Kwiatkowskiego, choreografię przygotował Jarosław Piasiecki, a scenografię Adam Kilian. W widowisku, obok zawodowych artystów wystąpił także chór dziecięcy Państwowej Szkoły Muzycznej pod kierunkiem Henryka Blachy.

▲ Dzień 30 maja był niezwykle uroczysty dla uczniów i nauczycieli Szkoły Podstawowej nr 137. Szkole tej nadano imię Aleksandra Kamińskiego — harcerza, wybitnego pedagoga, wielkiego przyjaciela dzieci i młodzieży, współorganizatora „Szarych Szeregów”.

▲ Zakończyły się, odbywające się ostatnio Dni Zgierza. Or-

ganizatorzy przygotowali wiele imprez. Towarzystwo Przyjaciół Zgierza było gospodarzem sesji popularnonaukowej, poświęconej rewolucyjnym tradycjom miasta i udziałowi jego mieszkańców w robotniczym zrywie 1905 roku. Miejscowi plastycy pokazali swoje prace w Międzyszkolowym Domu Kultury „Włókniarz”. Można było obejrzeć także wystawę pokazującą przemiany jakie dokonały się w przemyśle zgierskim w 35-lecie PRL.

▲ 3 czerwca br. w gmachu Łódzkiej Akademii Medycznej odbył się finał ogólnopolskiego VI Akademickiego Turnieju Znajomości Języka Koszyńskiego i Wiedzy o Kraju Rad. Tegoroczny turniej przebiegał pod hasłem „Polsko-radzieckie braterstwo broni i pracy” i udział w nim wzięło 70 tys. studentów w tym ponad 11 tys. z Łodzi.

▲ 1 czerwca w Głównie w ramach II Przeglądu Aktywności Ludzi Pracy „Człowiek — Praca — Twórczość” odbyła się wielka impreza plenarna. Trwała ona kilka godzin i udział w niej wzięło prawie 1000 wykonawców. Mogliśmy obejrzeć m. in. wiele zespołów pieśni i tańca, kabarety, kapela ludowe, chóry, zespoły wokalo-instrumentalne. Odbyły się także konkursy sprawnościowe dla dzieci i młodzieży.

▲ W Galerii Bałuckiej na Starym Ryнку można obejrzeć wystawę prac młodego grafika Krzysztofa Wiozorka.

▲ Po raz dziesiąty CRZZ przyznała doroczne nagrody prasowe. W bieżącym roku laureatami zostali: dwutygodnik „Gornik” i gazeta zakładowa FSC w Starachowicach „Budujemy samochody”. W kategorii indywidualnej nagrodą przypadła w udziale: Irene Dziedzic („Tele-Echo”), Halina Jurkowska (redakcja „Łączność”), Witoldowi Kościelskiemu („Gazeta Zachodnia”), Andrzejowi Leszczyńskiemu („Trybuna Ludu”), Alojzemu Maniakowskiemu (gazeta zakładowa „Budowlani”), Jackowi Ostrowskiemu („Życie Warszawy”), Karolowi Rudniewskiemu („Głos Pracy”), Marii Rybarczyk („Głos Nauczycielski”) i Teresie Toralskiej („Kultura”).

▲ W Warszawie, z inicjatywy Rady Towarzystw Przyjaźni z Narodami działającej przy OK Frontu Jedności Narodów, polowano Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Kanadyjskiej. Prezesem Towarzystwa został rektor Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Zygmunt Rybicki.

▲ Na Kielecczyźnie od 27 do 31 maja trwały Dni Kultury Bułgarskiej, zorganizowane z okazji 1300 rocznicy powstania państwa bułgarskiego. Odbyły się wiele interesujących imprez.

W Kielcach wyświetlane były najwybitniejsze dzieła kinematografii bułgarskiej, Muzeum Narodowe Oddz. Kielce zorganizowało przegląd filmów krótkometrażowych o sztuce i kulturze bułgarskiej. Przygotowano wiele interesujących wystaw plastycznych i fotograficznych. Odbyły się także spotkania literackie i dwudniowy kiersmasz użytkowej sztuki bułgarskiej.

▲ Stowarzyszenie Spiewacze „Harmonia”, 19 czerwca udaje się na tournée do Holandii. Przed wyjazdem chór zaprezentował się łódzkiej publiczności w sali Filharmonii w poniedziałek, 2 czerwca.

W Nowym Jorku zapalili krzyże w Alabamie, spalili autobus szkolny w Północnej Karolinie, zabili pięciu ludzi; tajemniczo osobnicy w kapturach znów się pojawili. Walczą już nie tylko za pomocą pistoletów i ładunków wybuchowych, lecz prezentują siebie jako nowy ruch obrony praw obywatelskich, jako rzeczników białych, którzy czują się zagrożeni i dyskryminowani przez czarną konkurencję.

16-letni Claude McBride jest jeszcze za młody na wstąpienie do Ku Klux Klanu, ale zawsze był „za” — uciekł się, gdy ojczym postanowił zabrać go na akcję. W sobotę rano przybył do Winston-Salema, gdzie wyznaczył sobie zbiórki 12 członków Klanu i faszystów; celem akcji było osiedle Morningside w okolicznym mieście Greensboro, gdzie stu czarnych i białych maoistów zorganizowało manifestację pod hasłem „Śmierć Klanowi”. Wkrótce jednak przekonali się, że Klan żyje. Niespodziewanie w tłum w szaleńczym tempie wjechały dwa samochody,

z których wnętrza krzyżowano: „Czarnuchy”, „Komuniści precz!”, „Niech żyje Klan”. Rozległy się strzały. Claude był przerażony, przypomniał sobie, że ze strachu prawie nie mógł ruszyć się z miejsca. Gazety przyniosły zdjęcie młodego człowieka, gdy stał z kijem w ręku, a wokół niego mężczyźni ładujący karabiny — „jak myśliwi w chłodny listopadowy dzień”, napisał NEW YORK TIMES. Było to 3 listopada 1979 r. W wyniku strzelaniny zginęło trzech białych lewicowych ekstremistów i czarna ciężarna kobieta, czwarty biały zmarł później na skutek odniesionych ran.

Porządek, panowanie białych, czystość — takie nieskonkretyzowane pojęcia nabierają wagi w czasach, gdy najbardziej w świecie naród musi uznać, że nie ma nieograniczonych możliwości. Gdy brodaty Castro z Kuby albo brodaty Chomienin z Persji mogą bezkarnie ponizać zachodnie mocarstwo, gdy obywatele muszą się obawiać czy w lecie wystarczy im benzyny, a w zimie oleju opałowego, gdy czarni oraz inne mniejszości coraz pewniej żądają pracy, której jest coraz mniej — to niewesoło musi się dzieć w państwie amerykańskim. Za galon (prawie cztery litry) benzyny trzeba płać ponad dolara. Obywatel z rozgorznięciem twierdzi, że w zintegrowanych szkołach więcej jest hałasu niż nauki; jego zwykłe optymistyczne przyjaciół i krewni po raz pierwszy uważają, że w następnych latach będzie gorzej, nie lepiej. Wielu szuka nowych odpowiedzi — i znajduje je na prawicy.

Intelektualiści, jak Daniel Patrick Moynihan (były przedstawiciel USA w ONZ), którzy niedługo wraz z Johnem F. Kennedym i Martinem Kingiem walczyli o reformy społeczne, przekształcili się w „neokonserwatyistów”. Mniej wykształceni, jak bezrobotny McBride z Północnej Karoliny, przyłączają się do ruchu, który jeszcze kilka lat temu zdawał się być wypalony. Otoczeni tajemnicą ludzie w kapturach znów się gromadzą, w maskach spotykają się na rajdach samochodowych. Tu i ówdzie jak duch galopuje jednocześnie w kapturze. Poczuł mechanika, drobni farmerzy, pracownicy stacji benzynowych i zatrudnieni dorwycze — wczorzymi przedstawicielami „w smoków”, „nocne sokółki”, „tytanów” i „czarowników”, tradycyjne rangi w ponad stuletnim Ku Klux Klanie.

Przeciętni obywatele z niższych warstw wciągają się w rolę romantycznych bohaterów ze świata, w którym ojczyzna i religia coś jeszcze znaczą, w którym oni — biali — byli panami. Holdują tajemno spryskiwaczom, które zapisało jeden z najbardziej ponurych rozdziałów w historii Stanów Zjednoczonych: klanowcy pobili, wykastrowali, obalili smółką i powiesili tysiące Murzynów, wrzucali granaty do kościołów i szkół murzyńskich, mordowali obrońców praw obywatelskich. Ze ślepa bigoterią przesładowali czarnych, Żydów, katolików — wszystko, co nie było białe, protestanckie, konserwatywne „stupcentowe amerykańskie”. Polityczne szaleństwo, absurdalne i śmieszne.

W Stanach Nowy Jork i Connecticut rasisci zapalili krzyże w ogrodach Murzynów, którzy osiągnęli awans i przeprowadzili się do dzielnic zamieszkałych przez białych.

W Dallas w Teksasie zorganizowali pierwszą od 60 lat demonstrację uliczną.

Na spotkaniu w Decatur w Alabamie „uroczyście” spalono autobus szkolny, nowy symbol nienawiści. Członkowie Klanu ostrzelali dom mieszkanego małżeństwa.

W Denver w Kolorado zamaskowani klanowcy zgromadzili się przed synagogą z hasłami „Synjonizm = Komunizm”. W Trenton w New Jersey zdemastowali synagogę.

Ministerstwo Sprawiedliwości w Waszyngtonie musiało w 1979 r. zajmować się pięć razy większą liczbą skarg przeciwko Klanowi niż w 1978 r. Na zlecenie prezydenta Cartera FBI, które przed kilkoma laty zaprzętało systematycznie infiltracji Klanu, po masakrze w Greensboro znów wysłało swoich agentów na ten odcinek. W USA działają co najmniej cztery organizacje ponadregionalne:

— „United Klans of America”; szefem jest

Robert Shelton, a centrala mieści się w Tuscaloosie w Alabamie; — „Invisible Empire, Knights of the KKK”; szef: Bill Wilkinson; centrala w Denham Springs, Luizjana; — „Knights of the Ku Klux Klan”; szef: David Duke, centrala w Metairie, Luizjana; — „Confederation of Independent Orders of the Invisible Empire, Knights of the KKK”; szef: William Chaney, centrala w Greenwood w stanie Indiana.

Oprócz tych zrzeszeń raz współpracujących innym razem zwalczających się — działają dziesiątki lokalnych Klanów, nie stowarzyszonych w żadnym związku narodowym. Dotychczas Klanowi nie udało się utworzyć jednej centrali. Nie istnieje jednolity schemat organizacji, ale zwyczajowo przywódcą związku nosi tytuł „Grand Wizard” (Wielki Czarownik). Kierownikami grup regionalnych są „Grand Dragons” (Wielkie Smoki) — są oni wybierani przez członków. Smoki mogą zdeponować Czarownika. Wielkie Klany wydają własne periodyki.

Członkowie lokalnych ugrupowań spotykają się z reguły raz w tygodniu na wykładach, oglądają slajdy lub filmy, chętnie uczestniczą w ślubach, chrzcinach lub innych ceremoniach rodzinnych współwzrostu. Oblicza się, że do Klanu należy ogółem 10 000 osób, w tym jedna czwarta to kobiety. Jest to znikomy odsetek całej ludności kraju (220 mln) i drobna część liczby 4 milionów — tylu członków liczył Ku Klux Klan w swoich kwintagach lat 20-tych tego wieku. Ale: liczba członków zwiększyła się w ciągu roku o 25 proc. Przybliżyli się oni do ideologii terroryzmu, a terror uprawiać może nawet mała grupa. Przemoc stosuje się przede wszystkim przy współdziałaniu z faszystami — morderstwa z Greensboro są dziełem „Zjednoczonego Frontu Rasistowskiego”, utworzonego 22 września 1979 r. w Luizburgu i Północnej Karolinie przez najradykalniejszych klanowców i Narodowosocjalistyczną Partię Ameryki (NSPAA). (NSPAA utrzymuje kontakty z neonazistami w RFN). W ciągu roku podwoiła się liczba sympatyków KKK na terenie całych Stanów Zjednoczonych, to skłoniło badacza Klanu, Irwina Sullaa do stwierdzenia: „Klan nie jest już dziś tak izolowany jak wcześniej”.

Ostatnio Klan kieruje swe hasła pod adresem białych uczniów w szkołach mieszanych: „Czy nie macie już dość czarnych kryminalistów, którzy kradną wam portmonetki? Biali uczniowie, walczcie o białą władzę! Ulotki o tej treści rozdawano w szkołach kilku stanów. Klan chce ściągnąć młodzież, organizując obozy letnie, na których odbywają się gry terenowe i nauka strzelania. Swego rodzaju grę terenową dla dorosłych zorganizował Klan Davida Duke’a: nad granicą meksykańską urządzone polowanie na nielegalnych imigrantów, chwytano ich i zakutyli w kajdanki odstawiano z powrotem.

Firmy i urzędy przy przyjmowaniu do pracy ustalają udział dla białych i czarnych zatrudnionych. Prowadzi to niejednokrotnie do tego, że do pracy przyjmuje się czarnego zamiast białego, który wydaje się mieć lepsze przesłanki

do danego zajęcia. Złość wielu białych wywołuje napływ czarnych do armii, gdzie mają możliwość awansu, zwłaszcza że wśród czarnych nastolatków jest 40 proc. bezrobotnych. Dziś w wojsku czarni stanowią jedną trzecią żołnierzy (w 1969 r. jedenasto procent), siedem procent oficerów (3,3 proc. w 1969 r.). Nawet w tradycyjnie „czystej” rasowo marynarce prawie 10 proc. załogi i 2,3 proc. oficerów, to czarni. W odpowiedzi w obozie wojskowym Camp Pendleton w Kalifornii powstała w 1976 r. grupa Klanu. W ubiegłym roku Wilkinson wysłał swoich ludzi do Norfolk w Wirginii, gdzie stacjonuje 85 000 marynarzy i żołnierzy piechoty morskiej. Wkrótce w kilku jednostkach, np. na lotniskowcu „Independence”, powstało kilka grup Klanu. Gdy doszło do bijatyk między białymi i czarnymi, sprawą musiał zająć się minister obrony Brown. Dowódcy wszystkich okrętów otrzymali rozkaz, by „zlikwidowali wszelką działalność rasistowską”.

Wszystko zaczęło się w 1866 r. w smutnym prowincjonalnym miasteczku Pulaski w Tennessee. Szczęśliwie młodych byłych żołnierzy armii Południa, która przegrała wojnę, postanowiono założyć związek tworząc jego nazwę od greckiego słowa Kyklos (Koło). Zza białych masek mrucze: „Jesteśmy duszami poległych żołnierzy armii konfederatów”. Przesadni, niewykształceni Murzyni uciekali w popłochu. Wkrótce w innych regionach powstały podobne tajne stowarzyszenia, które potem zjednoczyły się pod dowództwem byłego generała kawalerii, Nathana Bedforda Forresta. Klan postawił sobie za cel ustanowienie porządku po przegranej wojnie domowej. Zwycięstwo Północy nad Południem przyniosło wolność byłym niewolnikom, którzy odtąd przynajmniej teoretycznie mogli być szczytami i burmistrzami. Eksplozycjowicie konfederacy zostali wykluczeni z publicznych urzędów. Ludzie w maskach brutalnie przystąpili do dzieła.

W latach 20-tych organizacja zaczęła się rozpadać. W drugiej połowie lat 20 i w latach 30-tych Klan znikł prawie w miastach, gdy prezydent Roosevelt swoją polityką Nowego Ładu (New Deal) natchnął biedniejszych białych nadzieją na lepsze jutro. Renesans nastąpił w 1954 r., gdy Sąd Najwyższy orzekł, że podziały rasowe w szkołach publicznych są niezgodne z prawem. W stanach południowych, w szkołach, na placach zabaw, w domu Martina Kinga w Montgomery zaczęły eksplodować granaty. W świat poszły zdjęcia wypalonych kościołów murzyńskich i czarnych dzieci prowadzonych przez żołnierzy do szkoły wzdłuż szpaleru historycznie wrzeszczących białych. W 1965 r. w Alabamie zamordowana została biała bojowniczka o prawa obywatelskie, 39-letnia Viola Gregg Liuzzo, matka pięcioro dzieci. W Mississippi członkowie Klanu uprowadzili i zabili dwóch białych i czarnego, którzy nauczali kolorowych jak mają korzystać ze swego prawa wyborczego.

FBI zainstalowało w Atlancie specjalną centralę do zwalczania Klanu. Murzyni zdobywają coraz większe wpływy w państwie i społeczeństwie: dziś obieralne funkcje w stanach południowych sprawuje 43 razy więcej czarnych niż przed 25 laty. Nawet Atlanta ma od 1974 r. czarnego burmistrza, ponieważ do urn wyborczych poszło wystarczająco wielu Murzynów, by przegłosować białego kandydata. Wszystko to niepokoi, zwłaszcza uboższych białych, którzy czują się zdradzeni przez Cartera. Członkostwo w Klanie daje im poczucie bezpieczeństwa, a nocne ceremonie przyjęć własnej wartości.

Zabawa jest jednak poważna. Żadna ustawa nie zabrania obywatelom USA zbroić się aż po zęby. Nikt dokładnie nie wie, jaki arsenał sprawiło sobie 10 000 członków Ku Klux Klanu. W Kalifornii licencje detektywistyczne otrzymała „K.B.I. Detektiv Agentur” — później okazało się, że jest to grupa dawnych członków Klanu. Czarni nie są już tacy bojaźliwi, jak niedługo zaatakowani — bronią się.

(„Der Spiegel”)

NIEDZIELA W MUZEUM SZTUKI

Doroczna, tradycyjna już „Niedziela w Muzeum Sztuki” odbędzie się dnia 8 czerwca. W dniu tym wstęp do muzeum jest bezpłatny a godzinny otwarcia ekspozycji stałej i wystawy czasowej trwają od 10 do 18.

Największą atrakcją tegoroczną „Niedzieli w Muzeum Sztuki” będzie otwarcie o godz. 12 wielkiej wystawy 347 grafik Pabla Picassa. Czynne będą również ekspozycje stałe: malarstwa polskiego XVII-XIX wieku i międzynarodowej sztuki nowoczesnej oraz wernisze otwarcia wystawy czasowej ekspozycji fotografii i rewolucjonistki Tyny Modotti. Dla najmłodszych gości „Niedzieli” atrakcją będzie konkursowa wystawa malarstwa dzieci na temat „Moja przygoda w muzeum”. Dla dzieci starszych przewidziany jest konkurs na plakat „Zwiedzając Muzeum Sztuki w Łodzi” i wystawa o konkursowej prac nagrodzonych na efektywnym słupie reklamowym ustawionym w muzealnym ogrodzie.

Wszystkie zwiedzający w tym dniu Muzeum Sztuki będą mogli w godz. 13-15 zamówić sobie pamiatkowatą zbiórkę z dowodnie wybranych dzieł sztuki oraz sprawdzić swoją spostrzegawczość, biorąc udział w konkursie pt. „Tajemniczy obraz”.

Wielką atrakcją będzie też możliwość uzyskania bezpłatnie własnej karykatury wykonanej przez znakomitego karykaturzystę Stanisława Grakowskiego, który będzie portretował gości „Niedzieli” od godz. 12.30 do 14.

W ramach „Niedzieli” odbędzie się też uroczyste zakończenie kolejnego sezonu aktywnej działalności Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Sztuki połączone z promowaniem najektywniejszych uczestników i koncertem solistów. Znała ze swoich oryginalnych metod dydaktycznych w zakresie wychowania estetycznego artystka plastyczna Izabela Trzelińska przeprowadzi z młodzieżą „Cwiczenia z wyobraźni” w ogrodzie muzealnym.

W bogatym programie koncertów odbywających się w trakcie „Niedzieli” wystąpią: Zespół Wokalo-Muzyczny Zakładu Przemysłu Bawełnianego im. Sz. Harnama, Orkiestra Garnizonowa pod dyktando kpt. mgr Zdzisława Borkowskiego, studenci Studium Języka Polskiego dla Cudzoziemców i Zespół Kameralny Filharmonii Łódzkiej.

Na stoiskach Cenelli i Domu Książki gości „Niedzieli” znajdą atrakcyjne towary, a stoisko Wydawnictw Wlasyńskich Muzeum Sztuki oferować będzie niewielką ilość bestsellerów w rodzaju katalogu wystawy dzieł Stanisława Ignacego Witkiewicza.

W roku bież. cały program „Niedzieli w Muzeum Sztuki” jest tematem konkursu na fotoreportaż urządzany łącznie z Łódzkim Towarzystwem Fotograficznym dla jego członków.

Problem bliskowschodni, wypierany czasem aktualniejszymi wydarzeniami, nie zanika jednak z porządku dnia. Wciąż powiem jest to jeden z zapalnych punktów na świecie. Podobno temu poświęcono uwagę w toku warszawskiego spotkania Leonida Brzinewa i Valeriego Giscarda d'Estaing. W Deklaracji Doradczego Komitetu Politycznego państw — stron Układu Warszawskiego, który, co tylko przypominamy, w polowie maja odbywał w naszej stolicy, spotykamy następującą ocenę: „Już dawno można było ustawić trwały pokój na Bliskim Wschodzie. Znamy jest drogę wiadącą do niego, którą niejednokrotnie wskazywały państwa reprezentowane na naradzie — jest to droga całościowego politycznego uregulowania konfliktu bliskowschodniego z bezpośrednim udziałem wszystkich zainteresowanych stron, łącznie z arabskim narodem palestyńskim, reprezentowanym przez Organizację Wyzwolenia Palestyny, na bazie poszanowania słuszych interesów wszystkich państw i narodów Bliskiego Wschodu, w tym Izraela”.

Deklaracja wymienia następnie jako warunki takiego rozwiązania złozonego problemu — wycofanie wojsk izraelskich ze wszystkich okupowanych terytoriów arabskich oraz przywrócenie praw arabskim i narodowi Palestyny do samostanowienia, łącznie z utworzeniem własnego niepodległego państwa.

Niestety, jak powszechnie wiadomo, sytuacja rozwija się inaczej, a postanowienia z Cerny David, że szczebel bardziej zamęcza sytuację, właśnie w ub. tygodniu minął

termin trwających od roku negocjacji egipsko-izraelsko-amerykańskich w sprawie tzw. autonomii palestyńskiej. Upływ czasu nie przyniósł żadnych wyników. Podobno i w Kairze i w Tel Awiwie patrzy się na Waszyngton, że znajduje jakieś wyjście z sytuacji. Kair utrzymuje, że gołów jest wznowić bezpośrednie rozmowy pod warunkiem jednak, że otrzyma gwarancje od USA zmiany stanowiska Izraela co do Jeruzolimy.

my i rozbudowy osiedli na terytoriach okupowanych. Ale i w tym przypadku panuje przekonanie, że do listopada, a więc terminu amerykańskich wyborów prezydenckich wszystko nadal toczy się będzie w zwolnionym tempie. Jeśli już o tym rejonie świata mowa — odnotujmy szokującą i mogącą mieć duże następstwa dynamiczne izraelskiego ministra obrony — Weizmana. Powody tej dynamiki nie są całkowiście jasne, ale nie to w sprawie jest najważniejsze. Istotniejsze jest, że o opuszczone stanowisko ubiegają się wszystkie partie uczestniczące w rządzie i groza, że jeśli postulat każdej z osobna nie zostanie spełniony, spowodują kryzys gabinetowy. Podobno Begin zamierza na to stanowisko przesunąć dotychczasowego ministra spraw zagranicznych, a tekę tego ostatniego po-

wierzyć szefowi resortu spraw energetycznych, który, by posłużyć się opiniami niektórych agencji, nie ma zupełnie doświadczenia w dziedzinie polityki zagranicznej.

Złożoność sytuacji przedstawiana jest przez agencje zachodnie łącznie z wynikami ostatniego sondażu opinii publicznej, z którego wynika, iż 51 proc. Izraelczyków chciałoby, aby premier Begin natychmiast podał się do dymisji. Czy ewentualny następny rząd

jego partii — wciąż jeszcze brakuje trochę głosów. Niektóre agencje, a w tej liczbie REUTERS, piszą, jednakże, iż trzeba by politycznego cudu, aby Kennedy wyparł obecnego prezydenta.

Podobno w opinii wyborców amerykańskich liczy się to, że w minionym tygodniu były prezydent Ford, który przed czterema laty pokonał Reagana w wyścigu o nominację, teraz udzielił mu swego poparcia. Czy szala przechyli się w stronę republikanów? Szukając odpowiedzi na to pytanie — komentatorzy amerykańscy przypominają o niespodziance, jaką sprawiło może John Anderson, występujący jako niezależny. (Pisaliśmy o tym obszerniej).

Na zakończenie przeglądu wydarzeń jeszcze kilka słów o wizycie w Stanach Zjednoczonych francuskiego ministra spraw zagranicznych — Jeana Francois-Ponceta. Podróż ma charakter prywatny, co nie przeszkadza jednakże komentatorom stwierdzić, że napięcie na linii Waszyngton — Paryż jest wysokiego rzędu i że stosunki na tej linii nigdy jeszcze nie były tak złe od czasów gen. de Gaulle’a. Powód? Prozaiczny — Waszyngton krzywym okiem patrzy na wszelkie przejawy niezależności francuskiej polityki zagranicznej, a warszawskie spotkanie szefów państw francuskiego i radzieckiego — takiej niezależności było oczywistym przejawem.

W. SŁAWSKI

TYDZIEŃ W POLITYCE

byłby bardziej realistyczny i wprowadzał bardziej pragmatyczne wnioski? Na tak sformułowane pytanie pada odpowiedź raczej negatywna — szanse w Izraelu mają wciąż nieprzejednani politycy, jeśli chodzi o porozumienie z Arabami.

Na tym miejscu wiele już razy pisaliśmy o kampanii przedwyborczej w Stanach Zjednoczonych i wyjaśnialiśmy dlaczego. Powróćmy do tematu z uwagi na fakt, że na cztery dni przed zakończeniem maja w USA odbyła się przedostatnia runda wyborów wstępnych. Znowu odniósł w niej bezapelacyjne zwycięstwo Jimmy Carter i Ronald Reagan. Ten ostatni zapewnił już sobie ponownie wystarczającą liczbę delegatów na konwencji republikańskiej. Carterowi natomiast — na konwencję

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI KONRAD FREIDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDEK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD LUCYNSKI (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWSKI, JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOJENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stałe współpracują: ANDRZEJ BIAŁER, TADUSZ BIAŁEJSKI, TADEUSZ CHRZCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, MARIA KĘPINSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PAN-KIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

odgłosy

Dalszy ciąg ze str. 1

Andrzej Chojka, instruktor rolny z Ujazdu, młody, jasnowłosy chłopak, trochę nieśmiały, zniknął w jakimś obejściu.

Nowy, betonowy płot, siatka, dwie kolorowe bramy i furtki, za nimi młode drzewka owocowe, zadbane grządki. Dom od frontu drewniany, szczyty murewane, trzy duże okna weneckie, dwuspadowy dach pod papą. Wchodzi na obszerne podwórze, pośrodku żuraw studzienny, ale obok niezbędne w gospodarstwie maszyny rolnicze, krajęga nakryta folią, przy niej wielka przysma r'wno poc'etego drewna na opał. Przy wozie na ogumionych kołach stoi on i cna, trochę onieśmieleni, wyciekający, z nieufnością i nadzieją zarazem w wyblakłych oczach. On w drellichu, w czarnym przyplaszczonym berecie, z ogorzałą, zaczerwienioną twarzą i dużymi, szerniałymi, sękatymi dłońmi;

ne. Dzieci męczy, a tutaj szkołę miała pod bokiem. Bielizny nie wysuszy, bo strych się zawala. Boże święty! Męczy się, ponieważ, a nie chcą zostać u ojców.

— Przecież my byśmy jeszcze pracowali w gospodarce — wtrąca Jan. — Niechby oni sobie robili w przemyśle, byleby tylko tu byli...

Z beznadziejnej opowieści wylania się obraz ludzkiego osamotnienia, bezsilności, rozpacz. Szkoda ludzi i takiego ładnego gospodarstwa. Za stodołą jest sad, po drugiej stronie drogi też sad, rosną śliwy. Samo ogrodzenie kosztowało dwanaście tysięcy, do niedawna Mazurkowie sprzedawali dziennie od czterech krów po pięćdziesiąt litrów mleka. Mazurek jest w lepszej sytuacji, on pracował dodatkowo na kolei i ma dwa tysiące renty, jego żona nie ma nic. Obecnie w gospodarstwie są trzy krowy, jalówka, koń i dwie świni. Mazurkowie wypędza z zagrodzenia około

na Kuś. — Ale bywa, że dzieci nie chcą użytkować gospodarstwa.

I przykładem tego są właśnie Mazurkowie. Szacuje się, że w kraju do roku 1985 państwo będzie musiało przejąć około 300 tysięcy gospodarstw, gdzie nie ma następców. Trzeba będzie setkom tysięcy ludzi zapewnić spokojną starość, zadbać o opiekę lekarską, o pomoc domową i usługi bióstr PCK. W marcu br. było w kraju 130 domów rencistów na wsi. Wydaje się, że w miarę upływu czasu problem ten stanie się oczywisty także w gminie Ujazd, ale na razie o domu rencisty nie myśli się tam.

Sekretarz KG PZPR, Marek Muskała, uważa, że gminę z jednej strony wspomaga przemysł, a z drugiej strony zabiera ręce do pracy na roli.

— Setki młodych ludzi podejmują pracę w Babach, Kolaszkach, Mosz-



RSP, ta ostatnia ma już 220 ha ziemi. Jest to w przeważającej części ziemia V i VI klasy, dlatego nie ma np. tradycji warzywnictwa. Jest za to hodowla drobiu i trzody chlewnej, mamy nawet dwie specjalistyczne, jak chociażby Helenów.

— Odłogów nie ma, ale jeśli SKR sieje i nie zbiera, to tak samo, jakby ziemia leżała odłogiem.

— Dlatego w SKR został rozwiązany Zakład Gospodarki Rolnej, SKR będzie świadczyć tylko usługi.

— Ile ziemi miała SKR?

— Czterdzieści sześć hektarów, ale w kawałkach. PGR by wziął, ale w jednym kawałku, skomasowane. Trzeba będzie tę ziemię sprzedać lub wydzierżawić rolnikom indywidualnym.

cznicy, Rokicimach, w Tomaszowie i w Niewiadowie — mówi sekretarz. — Ale mimo to z rolnictwem nie jest źle. Odłogów nie ma, bo wszystkich ziemię zagospodarowują albo rolnicy indywidualni, albo SKR, PGR czy



Sekretarz mówi, że szansa na utrzymanie młodych ludzi na wsi jest lepsze usprzętowanie gminy. Tutaj było tak, że jeśli rolnik chciał kupić ciągnik wycofany z eksploatacji, musiał jechać do Piotrkowa, bo tam ciągniki były wyceniane. Gminna Spółdzielnia czyni starania o stworzenie rejonowej bazy sprzętu rolniczego, która by zaopatrywała północny rejon województwa w maszyny i sprzęt rolniczy. Zakład w Niewiadowie produkuje sprzęt gospodarstwa domowego, sprzęt turystyczny, przyczepy campingowe i ludzie chętnie szukają tam pracy. Ale dzięki Niewiadowski jest bocznicą kolejową i odpada uciążliwy transport. Zawsze jest pod dostatkiem węgla, cementu, nawozów. Niewiadów pomaga w budowie i naprawie dróg, w odśnieżaniu. Zimą 1979 roku, dzięki pomocy Zakładu w Niewiadowie, wszystkie drogi były przejezdne i odstawy mleka przebiegały bez zakłóceń.

Sekretarz Muskała mówi z optymizmem, że bez przemysłu gmina się nie liczy, a ja się zastanawiam, kto będzie przejmował wypadającą z produkcji ziemi. Okazuje się, że tacy chętni zawsze się mogą znaleźć. I są, nawet w Wyknie. Oto na samym krańcu wsi, tuż pod lasem bieleją budynki dużej fermy. W obejściu widać dwa ciągniki, żuka, łata, ładowacz, roztrząsacz do obornika. Jest olbrzymi magazyn z automatyczną mieszalnią pasz, ze studnią i hydroforem w piwnicach, a za nim długi, wysoki obiekt hodowlany, z obszernym wybiegiem, na którym gęś gęś. Wokół fermy niebagatelny areal ziemi — trzydzieści pięć hektarów.

Inżynier Kuczewski, który pełni tutaj rolę pełnomocnika, mówi bez przechwałek:

— Ziemia V i VI klasy, żyto w ubiegłym roku nie posypało, a myśmy zebrałi po 30 q z hektara. Zawieźliśmy do GS pięćdziesiąt ton żyta, uprawiając wszystkich w konsternację. To było „trochę” więcej niż odstawia wieś Wykno, załatwiłiśmy tym plan całej gminy. Podstawowy kierunek naszego gospodarstwa to hodowla kaczek i gęsi, ale myśmy odstawili dodatkowo sto turkusków. Tym także ratowaliśmy plan gminy. A tam w odpowiednio zaadaptowanej stodołę — wskazuje budynek w dole — trzymamy owce, teraz się pochowały...

— Jak się tutaj znalazliście?

— Właścicielem jest brat, Jan. Pochodzi ze wsi, ma średnie wykształcenie i przez wiele lat pracował jako urzędnik WSS. Względnie ambicjonalnie i finansowo zadedykował, że Jan się przekwalifikował. Pomagam mu, żeby pokazać, że potrafi zrobić coś na wsi.

No i to w pełni im się udaje. W gminie powiedziano mi, że w ubiegłym roku Kuczewscy sprzedali państwu produkty rolne wartości 5,5 mln złotych.

— A co na to ludzie z Wykna?

— Siedzą na przyzbach i czekają. Popatrują, a w nocy usiłują ścieć nawozy, żeby u nich też dobrze rosło. Tylko, że na tym plasku sam nawóz sztuczny nie pomoże. Potrzebny obornik. Ale skąd wziąć, jeśli nie ma słomy, a obsada krów i świń niska?

Kuczewscy zgromadzili i zagospodarowali 35 ha ziemi, otrzymując każdą maszynę rolniczą, bo przynoszą większy dochód, niż SKR. Ale jest ich dwóch i nie podobała obrobic większego arealu, chociaż mogliby przejąć większość podupadłych gospodarstw w Wyknie. Głównie znalazłi się chętni do utworzenia Zespołu Rolników Indywidualnych to może. Ale członkowie Zespołu spoza rodziny to od razu patrzyli sobie na ręce, rozliczenia, kłopoty. Nie jest więc wykluczone, iż w przyszłości w Wyknie może się zawiązać Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna.

Za stodołą, gdzie mieszczą się owce, jest obejście z chatą do połowy pokryta zmurszałą dachówką, do połowy szczerzającą słomą. Na środku podwórza stoi biała przyczepa campingowa. Zafascynowany egzotyką „foto” Lucyszyn od razu tam położył przy okazji trafił na oryginalnego, siwiuteńkiego dziadka z laserką. Dziadek dał się sfotografować, ale gadać nie chciał. Dlaczego? Bo dziadek ma synów na wysokich stanowiskach, którzy nie chcieli gospodarować na wsi. I teraz na polu dziadka stoi ta nowoczesna ferma. Dziadek siedzi sobie na ławeczce i patrzy na to wszystko wzrokiem nieruchomym, nie wyrażającym żadnych uczuć. Być może w jego spójrzeniu kryje się trochę zawści i dumy zrazem, że ziemia wciąż rodzi, nie marnieje? Chciałoby się, żeby wszyscy dziadkowie mogli patrzeć z podobnymi uczuciami na przekazaną państwu ziemię.

W najbliższych latach tysiące starszków będzie siedzieć na ławeczkach, patrząc na swoją ziemię, którą uprawiają inni. Ale oni nie mogą wiecznie tkwić na tych ławeczkach. U schyłku życia trzeba im zapewnić ciepły kat, opiekę i życzliwość. I o tym musimy myśleć już teraz.

RYSZARD BINKOWSKI

Foto: R. Lucyszyn

ODGŁOSY 3

U SCHYLEKU DNIA

ona drobna, chudziutka, przgarbiona, w jakimś spłowiałym sweterku i obszernej brązowej spodnicy, z zastrachoną twarzą: na głowie ma szarą chustkę zawiązaną pod brodą, a ręce złożone jak do modlitwy. Mówię grzecznie „dzień dobry”, stary odpowiada, po czym ni stąd, ni zowąd, mierzy we mnie zakrzywionym paluchem i krzyczy zdartym, bulgocącym w krtani głosem:

— Wszystkiemu winno państwo! Dato państwo lekką ręką szkoły dla wszystkich, dato robotę i do czego doszło? Że to wszystko, co się wychowało w biedzie, ma teraz w dupie ziemię! A do czego jeszcze dojdzie? Że jak każdy powie „pieprzę tę gospodarke”, to nie tylko zbraknie mięsa, ale i chleba!

Mój Boże — głos mu się załamał, w oczach łzy — mój ty Boże jedyny. Siedmiorgo dzieci urodziła mi żona, a teraz nie ma żadnego, choć żyją...

Nazywał się Jan Mazurek, miał sześćdziesiąt osiem lat, siedmiorgo dorosłych dzieci i pięćhektarowe gospodarstwo, bez następcy. Powiedział, że żona Władysława ma sześćdziesiąt sześć lat, na co kobieta zaprotestowała.

Wysłuchałem cierpliwie, jak uzgadniają między sobą lata, i pewnie mój spokój udzielił się także starszyskom, bo się w końcu dogadali.

Jan Mazurek powiedział:

— Wie pan, czemu serce tak boli? Bo ja wziąłem gospodarke poniemiecką i musiałem ją spłacać. Bo ciągnąłem całe życie wszystko od nowa. Postawiłem stodołę, widziałe, jaka krepka, jakie zdrowe drewno...

Na pokrytym papą dachu siedzą gołębie, stary lubi ptaki, kurom tyle nie sypie ziarna, co winikom i mieszanym brywerkom.

— Ta stodoła — ciągnie — postoi jeszcze trzydziestkę, wystarczy co trzy lata posmarować dach smolą. Postawiłem nową oborę i stoi. Dom ciągnąłem od zębów, teraz są trzy piękne pokoje i wielka, dobudowana kuchnia. I w tych dobrach tylko my dwoje...

— Dlaczego?

— Dzieci nie chcą. Uciekły! Mieszkają w Gdańsku, w Szczecinie, w Łodzi, w Rokicimach. Jeden syn może by przyszedł, ale się boi.

— Czego się boi?

— Bo jakby wziął gospodarke, to musiałby sześciorgo spłacać.

— Prawnie spłaty tym z miasta się nie należą.

— Ale rodzinie wypadają każdemu coś dać.

Władysława zdobywa się na odwagę i mówi przez łzy, z żalem i wyrzutem, gniewnie:

— Już ledwo chodzę, ledwie mnie nogi noszą. Sztam na łake, na kolanach dołami krowy. Patrzę teraz na sąsiadkę, co ją podobny los spotkał i serce mi pęka. Bo u niej krowy stoją na łake i mleko im cieknie z wymion. Jak można do tego dopuścić? Ale już się nie dziwię. Mam jednego syna nad morzem, co chciałby tu przyjechać. Synowa nie pozwala, nie chce. A przecież dziewczyna ze wsi! Wstyd, proszę pana! Było wesele, to ona trzy nasze krowy doła przez całą noc, na raty!

— A ci, co bliżej mieszkają? Nie przyjdą?

— Córką tu była do niedawna. I przeniosła się do Rokicim, na komor-

trzydziestu kur i kurczaków. Po co się z tym męczy? Ano, jak ktoś z dzieci przyjedzie, trzeba kurę zabić, rosół ugotować. Jeden z synów mógłby przyjechać, ożenić się nieszczęśliwie. Żona źle się prowadziła, urządziła prywatki, a gdy mąż wracał w nocy od rozładowywania wagonów i chciał spać, to go budziła, szarpała, m'licjantów sprowadzała, że jest pijany i ją bije. Ostatnio zabrała wszystko z domu, nawet obrączki. I uciekła do swoich rodziców.

Gmina nie może przejąć ziemi z urzędu, ponieważ Mazurkowie płacą podatki, uprawiają cały areal i sprzedają państwu. Tymczasem we wsi młodszy od nich trzeba było zabrać ziemię. Zabrano gospodarki Synowcowej, Zofii Piankowskiej, Leonowi Woźniakowi, Rozalii Kwaśniewskiej, Marii Zimeckiej. U Stanisława Mazurka ziemia leżała odłogiem, ale płacił podatki, więc państwo dopiero niedawno wykupiło ziemię. Do Stasiołka czasem przyjadają dzieci, ale on już sobie nie radzi.

— A co się stało z tą ziemią?

— SKR wziął! — wykrzykuje Mazurek. — Przez trzy lata siał, ale nie zbierał! Taka to ich gospodarke...

— A my w żniwa już nie radzimy — mówi Mazurkowi. — Ręce nie te, co kiedyś, boją...

— Żona podawała snopków nie może. A jak wejdzie na wóz, to jej się w głowie kręci.

— Szkoda jednak rozdrabniać tę gospodarke — oświadcza Andrzej Chojka.

— To się nie rozdrobni. Sprzedam w całości na taką umowę, że będziemy mogli korzystać z jednej izby, co jest przy oborze.

Wychowali siedmiorgo dzieci, a gospodarke musi iść w obce ręce.

Zanim w październiku weszła ustawa o zaopatrzeniu emerytalnym rolników, w roku 1977 w województwie piotrkowskim do zasobów Państwowego Funduszu Ziemi przejęto grunty od 1007 gospodarstw indywidualnych o powierzchni 4,723 hektary. Najwięcej gospodarstw, bo 107, przejęto w gminie Ujazd. W następnych latach ilość przejmowanych gospodarstw znacznie zmalała.

Gmina liczy 1214 gospodarstw — mówi Janina Kuś, inspektor d.s. gospodarki ziemią. — Średnia gospodarstwa wynosiła 3 ha, obecnie około 4 ha. Gospodarstwa powiększają się, ponieważ młodzi ludzie chętnie dokupują ziemię. Jeżeli w 1978 roku przejęto na skarb państwa 204 ha, to w rok później już tylko 130 ha, a obecnie 40 ha. Wiąże się to z faktem, że ustawa o rentach i emeryturach zezwala przekazywać ziemię następcom, i to nie tylko dzieciom, ale innym członkom rodziny. W tym roku rolnicy jeszcze nie kwapią się z przekazywaniem ziemi za rentę, ponieważ wiedzą, iż rentę mogą otrzymać po zebraniu plonów.

Rolnicy narzekają, że przekazywanie ziemi następcą im sporo kłopotów.

Tak, za dużo jest papierków do wypełniania. Ale gdy przychodzą ludzie w mocno podeszłym wieku, robi to za nich urzędniczka. ZUS w Tomaszowie wywiązuje się ze swych obowiązków należycie, a Bank Rolny sporządza wykazy, za ile który rolnik sprzedał państwu produktów rolnych. Jeżeli rolnik sprzedał za mniej niż ustawowe 15 tys. złotych, to jeśli przekazuje ziemię państwu, otrzyma najniższą rentę.

Dużo jest rolników bez następ-

ców? — Właściwie to nie spotkałam się z takimi przypadkami — mówi Jani-

Wielokrotnie na tych łamach podejmowaliśmy tematy rodzinne. Prezentowaliśmy sagi robotniczych rodów, wielopokoleniowe rodziny chłopskie, młode małżeństwa na dorobku; przytaczaliśmy liczne przykłady pozytywnych rozwiązań, a także liczne niedostatki utrudniające codzienną egzystencję. Posługiwaliśmy się najczęściej przykładami indywidualnymi. Niedawne Plenum KŁ PZPR poświęcone „dalszemu rozwojowi i umacnianiu rodziny” skłania do ogólniejszej, tym razem refleksji, do powołania się na statystykę i opinie działaczy.

Rangę problemu, jakim jest rodzina, ilustruje najlepiej kilka danych. Na 1,12 mln. mieszkańców województwa miejskiego łódzkiego mamy około 330 tys. rodzin, w tym rodzin pełnych 245 tys. Samotnych matek wychowujących dzieci jest 51 tys., ojców — ponad 5 tys. (około 4 tys. dzieci wychowuje się w domach dziecka). Każdego roku zawieranych jest około 11 tys. małżeństw i rodzi się bli-

dów pracy, zwłaszcza w zakresie żywienia zbiorowego, opieki zdrowotnej, zorganizowanego wypoczynku (w WML obejmuje 100 proc. dzieci i młodzieży). Poprawia się sytuacja mieszkaniowa tysięcy rodzin.

Tej sprawie, jako podstawowej dla prawidłowego funkcjonowania rodziny, poświęćmy nieco więcej uwagi. Dramat mieszkaniowy jako spuścizna kapitalistycznej przeszłości i pewnych zapóźnień rozwojowych w okresie 25-lecia powojennego, już poza nami. Ale do pełnego rozwiązania problemu, zgodnie z zasadą „samodzielne mieszkanie dla każdej rodziny”, jeszcze daleko. Corocznie przybywa w województwie około 12 tys. mieszkań, coraz większych, lepiej wyposażonych, bardziej funkcjonalnych. I to cieszy. Jednak kolejka do własnego mieszkania jest nadal długa. W tej sytuacji sprawą ogromnej wagi jest stałe doskonalenie zasad przydziału mieszkań, zgodnie z normami sprawiedliwości społecznej. Jest

by zdrowia WML należy do przodujących w kraju, zwłaszcza pod względem „medycznej infrastruktury”. Tak zwłaszcza twierdzi administracja, ale w odczuciu społecznym jest to opinia przesadnie optymistyczna. Nadal narzeka się na ciasnotę w szpitalach, przedłużające się remonty niektórych placówek, kolejkę do lekarza, trudności z zakupem odpowiednich leków, długi czas oczekiwania na badanie specjalistyczne, ogólne marnotrawienie czasu pacjenta.

Podczas dyskusji na plenum zwrócono uwagę na konieczność doskonalenia pracy służby zdrowia, zapewnienia pełnej dostępności świadczeń i poradnictwa, usprawnienia działania służby zdrowia w miejscu zamieszkania. Służby temu będzie m. in. wprowadzony ostatnio dwumianowy system pracy w poradniach rejonowych.

Pomyślny, harmonijny rozwój rodziny to wartość społeczna. I odwrotnie, jej nietrwałość, wewnętrzna dezintegracja, atrofia uczuć i wzajemnej pomocy ma swoje negatywne reperkusje społeczne. Duża liczba rozwodów powiększa nie tylko statystykę osobistych przegranych, ale stwarza przede wszystkim problem wychowania dzieci z rozbitych małżeństw. Fakt, że w Łodzi jest dwukrotnie więcej rozwodów, niż wynosi średnia krajowa, da się wytłumaczyć wielkomięską specyfiką (na wsłach ilość rozwodów jest 4-krotnie mniejsza). Jednakże, zważywszy, że najczęściej rozwodzą się małżeństwa w wieku 25—29 lat, można przypuszczać, że młodzi ludzie nie byli odpowiednio przygotowani do założenia rodziny. Główną przyczyną rozbitcia małżeństw, bądź tylko ich formalnego egzystowania wyżytko wzięli uczuciowych, jest alkoholizm, powodujący społeczne sieroctwo tysięcy dzieci. Szkoła, instytucje wychowawczo-opiekuńcze są w licznych przypadkach bezradne. Mogą tylko łagodzić skutki, nie mogąc przeciwdziałać przyczynom. Alkoholizm rodziców powoduje reguły niższy standard życia rodziny, nie zapewnia dziecku i w sensie materialnym, i duchowym zaspokojenia elementarnych potrzeb. W jaki sposób społeczeństwo może zwalczać to zjawisko, poza konstatacją smutnych faktów? Presja społeczna jest w tym przypadku werbalna i nie może być inna. Alternatywą dla alkoholizmu może być przede wszystkim długofalowe działanie w sferze nadbudowy społecznej, mające na celu podniesienie ogólnego poziomu kulturalnego społeczeństwa. Ale to już odrębny temat.

Złożoność problemu rodzinnego widać również na wcale licznych przykładach rodzin, które z formalnego punktu widzenia nie powinny wzbudzać zastrzeżeń. To rodziny, które swą „rodzinną” przedkładają ponad wszystko. W dobrych, czy nawet bardzo dobrych warunkach materialnych taka koncepcja życia rodzi egoizm, pązerność, sobkostwo; postawy aspołeczne i destrukcyjne. Dzieci nie wychowuje się na przyszłych obywateli, lecz na cwaniaków, których celem jest najwygodniejsze urządzenie się w życiu kosztem głupich altruistów. Jakże często ulegają też fałszywym przeświadczeniom, że „dzieciom powinno być lepiej, niż nam”. Rodzice, skądinąd ciężko w przeszłości pracujący, wyręczają obecnie swoje pociechy w spełnianiu elementarnych obowiązków. Dużo by o ten temat mówić, nie pomijając pretensji do środków masowego przekazu, które najchętniej epatują przesłodzonymi przykładami pozytywnymi.

Jakbyśmy nie ocenili stanu życia rodzinnego w aspekcie społecznym, a więc przede wszystkim spełnianie obowiązków rodzicielskich wobec dzieci, jedno jest pewne: przygotowanie do aktywnego, twórczego życia następnych pokoleń — przy oczywistym, wszechstronnym współdziałaniu państwa — zostanie rozstrzygnięte w podstawowej komórce społecznej, w rodzinie.

Opr. J.W.

Szczególne znaczenie dla prawidłowego rozwoju rodziny ma opieka zdrowotna. Postęp w tym zakresie jest znaczący. Zwiększyła się znacznie liczba poradni dla dzieci i kobiet, przychodni ogólnych i specjalistycznych, szpitali i żłobków. W zakładach pracy utworzono 20 oddziałów pracy chronionej dla kobiet ciężarnych. Mówi się dość często, że organizacja służ-



J.W.: „W województwie miejskim łódzkim coraz powszechniej zaczyna się kształtować model rodziny posiadającej jedno dziecko”.

Dalszy ciąg ze str. 1

wyjowy Techniki Instalacyjnej „Instal” formułuje więc Załącznik nr 1 do pisma ministra Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych (28 maja 1973 r., znak TE/IP/53162/73) jako „Wytyczne projektowania, montażu i eksploatacji instalacji centralnego ogrzewania w budynkach wyposażonych w grzejniki stalowe płytowe”. Z treści wytycznych wynika, że w nowo wznoszonych budynkach mieszkalnych zaleca się stosować te grzejniki stalowe płytowe, które przeszły odpowiedni okres próbnego użytkowania aprobaty naukowców od spraw ogrzewania i eksploatacji sieci ciepłej. Oto tekst zalecenia: „Grzejniki stalowe płytowe przeznaczone są do ogrzewania pomieszczeń mieszkalnych, biurowych, usługowych innych pomieszczeń, o normalnej wilgotności powietrza, w których nie występują żrące gazy lub opary oraz w których nie występuje przesypanie, dozowanie itp. środków żrących. (...) „Grzejniki stalowe płytowe mogą pracować w ogrzewaniach wodnych systemu zamkniętego i otwartego, w których temperatura czynnika grzejącego nie przekracza 110° C.” (...) „Grzejniki stalowe płytowe przeznaczone są do pracy przy ciśnieniu roboczym określonym w świadectwie dopuszczenia do stosowania”. Jednocześnie ukazuje się zarządzenie ministra Górnictwa i Energetyki z dn. 4. V. 1973 r. w sprawie eksploatacji sieci ciepłej, określające jakość wody dopuszczanej do stosowania przy ogrzewaniu mieszkań.

Wydawać by się mogło, że w polskim ciepłownictwie nastąpił poważny zwrot, że po przez masowe instalowanie nowoczesnych, płaskich grzejników stalowych płytowych, zwanych popularnie panelami, dogoniłmy poziom europejski. No bo grzejniki w wielkich ilościach zostały sprowadzone z Czechosłowacji i Austrii, szczęśliwie wytrzymały próbny okres eksploatacyjny, odpowiedni ministerstwo wydało odpowiednie decyzje — a inwestorzy i wykonawcy natychmiast przystąpili do montowania paneli.

W Łodzi los padł na Retkinię. Właśnie tam, na początku lat siedemdziesiątych zaczęto budować osiedla Zagrodniki, później Plaski, potem Północ, Południe. Tysiącami zwołano punie pomalowane na kolor „kość słoniowa”. Wszyscy byli zadowoleni: „Inwestprojek”, który był inwestorem, Łódzki Kombinat Budowy „Zachód” będący wykonawcą, zarząd spółdzielni mieszkaniowej „Polesie”, w końcu i lokatorzy, którzy wprowadzili się do nowo wzniesionych budynków. No we grzejniki pod każdym względem przewyższały tradycyjne żeberka: były ładniejsze, lepiej prezentowały się na

ścianie, miały większą powierzchnię grzejną i nie wymagały takiego zachodu przy myciu i czyszczeniu.

Pierwsze ostrzeżenie przyszło w 1976 roku. Na Zagrodnikach pękło 107 paneli! Ale jeszcze uspokajano się wzajemnie, gdyż sądzono, że być może trafiła się nieszczęśliwa ich partia. Ale kiedy w rok później zaczęły pękać panele także na innych osiedlach — zaczęto dochodzić przyczyn. Wiadomo, że zanim u nas powstała sieć komisyj, zanim te komisje rozpoczęły pracę, zanim wzięła się do tego właściwe instytucje i instytuty, mija sporo czasu. W roku 1978 na wszystkich czterech osiedlach (Zagrodniki, Plaski-Hufcowa, Północ, Południe) dzielnicy Retkinia pękły już 3.423 grzejniki płytowe, a straty z tego tytułu wyniosły prawie 3,5 miliona zł. Już wtedy mówiono o klęsce żywiołowej, choć jak się okazało, było to dopiero początki katastrofy.

Aby wymienić grzejnik, trzeba spuścić wodę z całego budynku, co powoduje poważne straty ciepła. Oczywiście, można pęknąć grzejnik zasklepić, lecz efekt jest jedynie ten, że do mieszkania przestaje lać się woda gorąca, a leje się zimna. Rntując mieszkanie, a tym samym niższe piętra przed zalaniem, trzeba dostać się do zaworów znajdujących się w piwnicy (klucze zostały odebrane dozorcóm i obecnie są w administracji) i taki zawór zakręcić.

Przyjmując, że okres ogrzewczy trwa od 15 października do 15 kwietnia, ciepło do mieszkań płynie przez około 154 dni. Dziennie dotychczas pękały średnio 22 grzejniki. A ponieważ nie pękają jednocześnie, więc przy każdorazowej ich wymianie, do kanalizacji spuszcza się setki hektolitrow gorącej wody. Takie straty wody powodowały, że Zakład Sieci Ciepłej nie mógł nadażyć z jej uzdatnieniem. Woda niedostatecznie uzdatniona przepływała przez grzejniki powodowała jeszcze szybszą ich korozję.

Ratowanie się przed potopem wymiana grzejników niewiele dała. Ostatni sezon ogrzewczy stał się całkowicie klęską: na Retkini pękło ponad 10 tysięcy grzejników płytowych! Za tą suchą liczbą kryją się setki zalanych podłóg, zniszczonych ścian, tapet, mebli, dywanów itp. Nie ma jeszcze dokładnych danych o wielkości strat. Są jedynie wykazy dotyczące samego 1979 r., według których straty przekraczają 8 mln zł.

Wspomniałem, że w pierwszym okresie stosowane były grzejniki płytowe sprowadzone z Austrii i Czechosłowacji. Ostatnio ich produkcją zajęła się Huta „Silesia” w Rybniku. Ale w „Silesii” zaraz grzejniki „usprawniono”. I to tak, że nie

UWAGA: RODZINA!

sko 17 tys. dzieci. Liczby te stają się jeszcze bardziej wymowne na tle sytuacji demograficznej województwa, a jest ona niekorzystna. Jeśli bowiem w kraju od lat przysort liczby ludności utrzymuje się na poziomie gwarantującym minimalną reprodukcję rozszerzoną (10 promili), to w WML w ostatnich latach wynosił około 4 promila. W konsekwencji tego faktu zaczął się kształtować coraz powszechniej model rodziny posiadającej jedno dziecko. Przyczyną takiego stanu można tłumaczyć różnorako. Jest to przede wszystkim trend charakterystyczny dla wszystkich społeczeństw o określonym stopniu rozwoju cywilizacyjnego, materialnego i odpowiadającym im przemianom stylu życia, mentalności, postawom społecznym, etc. Czy jest to zjawisko pozytywne, inna sprawa. W wielu krajach o ujemnym „przyroście” naturalnym demograficznie biją na alarm, a rządy promodelują politykę społeczną, wprowadzając daleko idące preferencje dla rodzin wielodzietnych. W naszym kraju pewne symptomy tego zjawiska pojawiają się w miastach, zwłaszcza w dużych aglomeracjach. W Łodzi, jak można dość prosto wnioskować, na sytuację demograficzną wpływa ujemnie wysoki stopień aktywizacji zawodowej kobiet (76 proc. kobiet zamieszkałych w miastach województwa pracuje w gospodarce społecznej, stanowiąc blisko 52 proc. zatrudnionych), a także istniejące jeszcze ogólnie warunki życia, skłaniają raczej do minimalizowania obowiązków rodzinnych.

Problem jest oczywiście bardziej złożony i nie chce go tutaj rozwijać. Dodajmy tylko, że stosunkowo niewielki przyrost liczby ludności województwa (43 tys. osób w latach 1975—79) związany jest w ponad 50 proc. z ruchami migracyjnymi. A także fakt starzenia się społeczeństwa, który to proces w WML rysuje się ostrzej, niż w innych regionach kraju. (W 1978 r. odsetek ludności w wieku ponad 60 lat wynosił w kraju 13,4 proc., w WML — 15,6 proc.).

Nie tylko jednak czynniki demograficzne nakazują poświęcać rodzinie stałą uwagę. Jeśli tak można rzecz, najwyższa rola, jaką się przypisuje rodzinie, wynika z socjalistycznych zasad ustrojowych. Rodzina jest bowiem podstawową komórką społeczną, zapewnia dzieciom i młodzieży warunki rozwoju, przygotowuje młode pokolenie do życia w społeczeństwie, kształtuje najsukuteczniej jego osobowość i zasady moralne. Rozwój i umacnianie rodziny są nadrzędnymi celami polityki społecznej partii, co szczególnie mocno podkreślają uchwały VIII Zjazdu.

Państwo ludowe podejmuje wszechstronne działania, aby polska rodzina mogła coraz lepiej wypełniać swoje funkcje wychowawcze i opiekuńcze. Istnieje cały system opieki socjalnej, instytucji wychowania, kształcenia i troski o zdrowie młodego pokolenia, zwiększa się systematycznie zakres świadczeń na rzecz rodziny. Idea państwa opiekuńczego wobec swych obywateli, a przede wszystkim rodziny, winna jednak iść w parze ze zwiększoną odpowiedzialnością rodziców za wychowanie swych dzieci. Rodzice nie mogą oczekiwać, że państwo uwolni ich choćby od części ich podstawowych obowiązków. Nie stać nas na takie rozwiązanie, niezależnie, że jest ono z elementarnych względów psychologiczno-społecznych nie do przyjęcia. Wychowanie dzieci przez rodziców, zaszczepienie wartości etyczno-moralnych, rozbudzanie zainteresowań i ambicji, kształtowanie wrażliwości, postaw altruistycznych i prospołecznych — to obowiązek rodziców — pierwsze i decydujące ogniwo całego procesu wychowawczego.

W latach 70-tych podjęto w naszym kraju szereg decyzji, które polepszyły prawną i materialną pozycję rodziny. W latach 1970—79 świadczenia społeczne na rzecz rodziny wzrosły trzykrotnie. Rozszerzono uprawnienia matek do korzystania z przedłużonych urlopów macierzyńskich, wprowadzono zasiłek porodowy, urlopy opiekuńcze na wychowanie dziecka, powołano fundusz alimentacyjny. Na życie wielu rodzin wpłynęło korzystnie rozszerzenie działalności socjalnej zakła-

można ich stosować na wymianę dotychczas używanych bowiem rozstaw osi gałązek zasilających został powiększony o całe 6 cm (większy jest także niż przy starych grzejnikach kolankowych). Oczywiście wymiana można dokonać, trzeba tylko, bagatelką przepawiać gałązki, co wiąże się z użyciem gazów technicznych, dodatkowej robocizny itp. Czyli wymaga to większych nakładów finansowych.

Grzejniki płytowe pękają z reguły w miejscach punktowego zgrzewania, gdzie najłatwiej utrzymuje się korozja. Ponadto blacha używana do ict produkcji pozostawia wiele do życzenia. A tu słyszę, że Huta „Silesia” zamierza produkować grzejniki z jeszcze cieńszej blachy!

Węży ciepłe mogą być zasilane przez hydroelewator (sto sowano to od 1972 r.), lub przez węży ciepłe wymiennikowe. Przy wężu wymiennikowym ciśnienie jest prawie stałe, natomiast przy hydroelewa-

wania w budynkach mieszkalnych. Okazało się bowiem, że sprawa pękających paneli nie jest sprawą łódką i dotyczy całego kraju. Strach pomyśleć ile milionów złotych zostało wyrzuconych w błoto tylko dlatego, że ktoś na jakimś tam szczeblu nie przemyślał sprawy do końca i w szlachetnej euforii wprowadzania nowości nie wziął pod uwagę specyfiki krajowych systemów zasilania węzłów cieplnych, jakości wody itp.

Dyrektor d/s technicznych RSM „Polesie” mgr inż. Ryszard Lessman twierdzi, że teraz jest już dużo lepiej jeśli idzie o wymianę paneli. Opracowali u siebie w spółdzielni metodę ścisków, polegającą na tym, że zamiast spuszczać wodę z całego budynku, zaciska się jedynie grzejnik, który nie nie traci ze swojej funkcjonalności.

„System ścisków” przyjął się i jest stosowany przez inne łódzkie RSM.

No cóż, dobre i to.

Rodzą się jednak wiele pytań, wiele wątpliwości. Chciałbym na przykład wiedzieć kto wpadł na pomysł sprowadzania drogiego grzejników stalowych płytowych, skoro można je było produkować w kraju? Kto zezwolił na ich montaż przy zasilaniu hydroelewatorowym, skoro wiadomo było, że nie wytrzymają wysokich ciśnień?

Bez większej nadziei na odpowiedź oczekuję dalszych sygnałów o kolejnych potopach.

EUGENIUSZ IWANICKI

Odszkodowanie, jakie otrzymuje się z PZU w przypadku zalania mieszkania jest mniej niż skromne. Od kilku lat materiały i usługi tapicersko-malarskie poważnie podrożały. Cenniki PZU pozostały jednak te same co dawniej. Oto niektóre pozycje odszkodowań przepisane z „Okólnika nr 26/75 Naczelnego Dyrektora PZU z dn. 20.V.1975 r. w sprawie likwidacji z ubezpieczenia mieszkań (KO-93) szkód powstałych w blokach mieszkalnych na skutek zalania”. Malowanie dwukolorne tyłków farbą klejową w kolorach jasnych (sufit na biało) w pomieszczeniach dawniej malowanych farbą klejową, z zeskrobaniem i zmyciem starej farby, drobna reparacja tyłków — licząc za całe pomieszczenie (nieb): a) pomieszczenie o pow. podłogi od 2 do 4 m kw. — 157 zł; b) j.w. od 4 do 6 m kw. — 205 zł; c) j.w. od 6 do 10 m kw. — 267 zł; d) j.w. od 10 do 16 m kw. — 333 zł. Opiaty za 1 m kw. uszkodzonej powierzchni odbicie tyłków na zaprawie cementowej (nieb): a) przełożenie posadzki (dębowej) deszczułek klepkowych — 87 zł; b) naprawa posadzki polegająca na wymianie pojedynczych deszczułek oraz ich cyklinowaniu i wyfroterowaniu — 30,5 zł i d). Najciekawsza jednak pozycja jest odszkodowanie za zniszczone tapety. Za tapetę nieznanywa „Gniazdynska” (nb. od dawna nie ma takiej w handlu) PZU płaci jedynie 5,70 zł, za 1 m kw; za tapetę nylonową zmywalną — 33,50 zł. Są to ceny nieziłowe i od dawna nieaktualne. Nie ma takiego rzemieślnika, który zgodzi się kleić tapetę za owe 5,70 zł. Inna sprawa, że w całej Łodzi ubezpieczonych jest zaledwie 38 proc. mieszkań.

(E)



„...mnie osobiście nurtuje pytanie, co to jest życie. Ciągłe zbyt mało wiemy, żeby pokusić się o zdefiniowanie życia”.

Foto: R. Łucyszyn

W Instytucie Pediatrii Akademii Medycznej w Łodzi przebywał w maju, wraz z ekipą, światowej sławy kardiochirurg, prof. Marius Barnard z Kapsztadu. Profesor jest współtwórcą transplantacji serca i specjalizuje się w usuwaniu wrodzonych wad serca u niemowląt. Podczas pobytu w Łodzi profesor i jego współpracownicy operowali najmłodszych pacjentów instytutu. Wybitnego chirurga poprosiliśmy o rozmowę.

— Pierwsze transplantacje serca wywołały ożywione dyskusje społeczne, poruszyły bowiem wiele problemów obcych dawniej medycynie. Myślę tu o zagadnieniach prawnych, społecznych i moralnych. Narodził się cały kompleks problemów, związanych między innymi z wyborem dawcy, uznaniem go za zmarłego. W tej sytuacji odmiennego znaczenia nabierają odwieczne pytania: czym jest życie i czym jest śmierć?

— To dobre pytanie. Zdarza mi się często mówić na ten temat. Definicja śmierci jest znana. Zgon następuje wtedy, kiedy przychodzi kres działalności mózgu. Potrafimy dziś, zwłaszcza my lekarze, przewidywać nadejście śmierci i nie mamy z tym większych problemów. Natomiast mnie osobiście nurtuje pytanie, co to jest życie. Ciągłe zbyt mało wiemy, aby pokusić się o zdefiniowanie życia. Ciągłe poszukujemy odpowiedzi.

— Kto może być dawcą serca?

— Każdy zmarły, posiadający zdrowe serce.

— Czy rodziny zmarłych osób zgadzają się chętnie na wykorzystanie do transplantacji serc ich krewnych? Czy nie żądają zapłaty?

— Oczywiście, zdarzają się przypadki odmowy. Rodzina ma prawo nie wyrazić zgody. Szanujemy ich poglądy. Często

jednak krewni zmieniają zdanie, jeśli wytłumaczymy im, co oznacza serce ich bliskiego zmarłego dla innego żyjącego człowieka. Nie łączy z nim nadziei, jak wielką stanowi dla niego szansę. Wówczas rzadko zdarza się, aby odmówili tej prawdziwie ludzkiej pomocy. Oczywiście czynią to bezinteresownie.

— Historia medycyny i cywilizacji obserwuje ściśle związki między stanem zdrowia a społeczno-ekonomiczną sytuacją obywateli i warunkami ich życia. Wiara, iż tylko leki i działalność czysto lekarska polepszy stan zdrowia ludności, należy do najbardziej złudnych przekonań. Jakże widzi Pan Profesor niebezpieczeństwo chorób w cywilizowanej części świata, jakie powinniśmy stosować metody profilaktyczne.

— Zapobieganie chorobom jest sprawą niesłychanie istotną, i to nie tylko w tym dosłownym, medycznym znaczeniu. Myślę tu także o potrzebie edukacji ludzi, o uświadamianiu, jaki wpływ wywierają na ich zdrowie warunki i tryb życia. W wielu krajach, między innymi i w moim, najważniejszym, a zarazem i najtrudniejszym, problemem staje się dotarcie lekarza do najdalszych zakątków kraju. Dotarcie do najbardziej i zaoczanych wiosek, zapoznanie ich mieszkańców z podstawowymi zasadami higieny, poczynając od nauczania dzieci mycia zębów, aż do przekonania dorosłych o potrzebie korzystania z opieki lekarskiej. Powoli, profilaktyka staje się jak gdyby drugim nurtem medycyny, co oczywiście nie znaczy, że nie należy o opiekować się chorym pacjentem. Musimy jednak dołożyć wszelkich starań, aby nie dopuścić do powstania choroby. Choroba, a ściślej mówiąc jej leczenie, staje się dziś coraz bardziej kosztowne. Wymaga nie tylko opieki lekarskiej i pielęgniarskiej, odpowiednich lekarstw, szpitali, aparatury, ale także często zmiany warunków bytowych i odpowiedniej pracy. W tym momencie dają o sobie znać zależności ekonomiczno-społeczne. Dobrym przykładem z tej dziedziny może być także wzrost cen ropy naftowej, niezbędnego jak wiadomo surowca do produkcji lekarstw.

— Medycyna powinna więc stać się jednym z ważniejszych narzędzi polityki.

— Myślę, że lekarze już odgrywają znaczną rolę w życiu społeczno-politycznym. Ogromne jest wychowawcze oddziaływanie medyków w środowiskach zawodowych, na niskim poziomie rozwoju. Uważam, że lekarzem jest się nie tylko po to, aby ratować życie ludzkie, ale także, aby stanowić wzór postępowania, nieść dobre słowo, współczucie i pomoc w każdej życiowej sytuacji, bez względu na to, w jakim miejscu świata mieszka, naś podopieczni. Działalność profilaktyczną, o której mówiłem, czy walka o ochronę środowiska naturalnego, to doskonałe przykłady działalności społeczno-politycznej lekarzy. Osobiście jestem bardzo zaangażowany w tego typu pracę.

— Podczas konferencji prasowej wspominał Pan Profesor o swoich poglądach na temat eutanazji. Czy mógłby Pan szerzej przedstawić swoje opinie na ten temat.

— Pytanie to wzbudza zawsze wiele emocji. Szanuję stanowisko tych osób, które z różnych powodów, na przykład religijnych, są przeciwko eutanazji. Przez całe życie szanowałem opinie innych i w tym wypadku nie czynię wyjątku. Dla mnie eutanazja oznacza prawo do godzi-

SZCZĘŚCIE TO TAKA OSOBISTA SPRAWA

wej śmierci, prawo do współczucia człowiekowi. Dlaczego, na przykład, nie podnosimy alarmu w kwestii usuwania ciąży. Przecież usuwanie ciąży to również rodzaj eutanazji. Nie dopuszczamy do narodzin dziecka, które z różnych powodów nie ma szans przżyć na świat. Zatrzymujemy czyjeś życie. Stosując eutanazję, czynimy to samo. Jeżeli ktoś jest przeciwko eutanazji, to dlaczego nie jest przeciwko usuwaniu ciąży? Zdaje sobie sprawę, że wszedłem na dość śliski grunt i pewnie wiele osób się ze mną nie zgodzi. Mają do tego prawo. Uważam jednak, że dzięki eutanazji możemy zapobiec nadmiernym cierpieniom chorego, wtedy, kiedy medycyna jest bezsilna. Jeśli współczujemy beznadziejnie choremu naszym ulubionym zwierzętom i usypiamy psy i koty, to dlaczego odmawiamy prawa do współczucia ludziom. Oczywiście, nie wyobrażam sobie, aby można było legalnie szafować tego rodzaju decyzjami. Ten bardzo ważny problem musi rozstrzygnąć nas każdy z nas. To jest najbardziej osobista sprawa: moja, pani, nas wszystkich.

— Czy zgadza się Pan z opinią, że postęp techniczny w medycynie niszczy jej humanistyczny charakter.

— Niestety, muszę się z tym zgodzić. Obserwuję coraz częściej, że lekarze stracili wiele ze swego dawnego stosunku do pacjenta. Nawet najlepsze komputery i aparatura nie zastąpią chęci pomocy i zrozumienia dla drugiego człowieka. Sam nie czuję się winny i nie oskarżam innych. Nie wleżę zbytby w maszyny, przyrządy i komputery. Wierzę w lekarzy i pielęgniarki, które troskliwie opiekują się pacjentem. Myślę, że nie jestem w swoich poglądach odosobniony.

— Czy nie sądzi Pan Profesor, że zdrowie i długie życie jest warunkiem szczęścia. Przy wielu okazjach, nie tylko na Nowy Rok, życzymy sobie przede wszystkim zdrowia.

— Nie, nie sądzę. Szczęście? To taka osobista sprawa. Jednym do szczęścia potrzebny jest odpoczynek, innym — jak mnie i moich kolegów — praca. To bardzo względne pojęcie.

Rozmawiała: MAŁGORZATA GOLICKA

ny, stało się rewolucją w psychiatrii, otworzyło pole do nowych badań, zmieniło zupełnie profil szpitala psychiatrycznego oraz zwiększyło możliwości powrotu pacjenta do pracy i do społeczeństwa. Wprowadzenie neuroleptyków być może zmniejszyło nieco lęk przed chorobami, ale za to stworzyło nowy lęk — przed tabletką.

Wiara w prawie magiczne właściwości stosowanych przez psychiatrów neuroleptyków ogarnia coraz szersze kregi i staje się treścią wielu artykułów. Trudno jest bowiem uwierzyć w brak niezwykłych właściwości tabletek, które likwidują omamy, czy lęki, muszą zdaniem wielu osób pozbawiać człowieka wolności, odbierają mu osobowość i czynią na zawsze swym niewolnikiem. Niewolnikiem nie tylko tabletek, ale i osób, które nimi dysponują — tj. psychiatrów. Wiara w brak możliwości oparcia się tabletkę przypomina mi w niektórych artykułach wiarę w demony, które chwytają w swe szpony duszę i rządzą nią wedle swej woli. Nie jest łatwo mieć wpływ zarówno na jedną jak i na drugą wiarę. Przypuszczam, że w konsekwencji tego właśnie lęku powstają głosy dążące do odrzucenia wszelkiego rodzaju tabletek i pozostania jedynie przy formach werbalnego i pozawerbalnego oddziaływania zwanego psychoterapią. Te formy, jak często dowiaduję się z prasy, są jedynymi, które zezwalają pacjentowi na zachowanie wolności, której mogłoby go pozbawić „magiczne” przecież działanie tabletek.

Niedużo jest chyba dziedzin, które budzą tak wiele zainteresowania, a jednocześnie i kontrowersji, jak właśnie psychiatria. Nimb tajemniczości, jakim otoczona jest w oczach społeczeństwa ta właśnie dziedzina, doprowadza do tworzenia się różnych poglądów, często zresztą niewiele mających wspólnego z rzeczywistością na temat warunków szpitali psychiatrycznych, możliwości oddziaływania na chorych i nawet zwiększania się wokół tej dyscypliny niepokoju i lęku.

Gdy zaczynałam pisać ten artykuł, długo zastanawiałam się o jakiej psychiatrii mam pisać. Czy o tej, którą widziałam oczyma wyobraźni, karmionej w czasie studiów pięknymi, humanistycznymi wykładami profesora Cwynara? Czy też bronić psychiatrów, a przez to i siebie, przed często ostatnio stawianymi w prasie zarzutami braku humanizmu, nieodróżniania u pacjentów uroję od pięknych idei, tłumienia lekami wszystkiego, co wniosło i wartościowe i wreszcie — zamykania wytworzonego strzępu na zawsze w szpitalu. W szpitalu, którego mury jak w „Locie nad kukłowym gniazdem” stają się symbolem więzienia ograniczającego wolność i prawo człowieka do samorealizacji i samostanowienia...

Tyle problemów nurtuje psychiatrię, ile nurtuje całą ludzkość. Zaden z problemów indywidualnego pacjenta nie może nie trafić do psychiatrii i w ten sposób nie stać mu się bliskim. Każdy z torów, po którym porusza się los człowieka jest jednocześnie jego własnym, jak i takim, który krzyżuje się z innymi torami. Przy każdym takim styku grozić może kraksa.

A jeżeli ona nastąpi, jakże często zraniony chowa się sam w mury psychiatrii, zakrywając się rękami ze strachu i kuląc dosłownie i w przenośni, aby tylko nie zetknąć się z innymi ludźmi, którzy widząc jego lęk i rozpacz mogą krzyknąć „ty wariacie”. Człowiek ten boi się wyjść z tych murów, a jednocześnie przeklina je dopatrując się w nich źródeł swojej słabości. Ale czy tak jest? Jakże są naprawdę możliwości psychiatrów? Czy istotnie dokonują oni dosłownie i w przenośni lobotomii (tj. zabiegu operacyjnego na płatach czołowych) pozbawiając pacjenta indywidualnego widzenia świata i wszelkich odczuć właściwych wyższemu gatunkowi?

Pewien znajomy pisarz opowiedział mi fragment swojego opowiadania, w którym jego bohater, humanista nienawidzący wszelkiej przemocy, dojechał do szpitala psychiatrycznego, wokół którego zobaczył pielęgniarzy w białych fartuchach, wyraźnie czegoś szukających. Zapytani czego szukają, odpowiedzieli że dziewięcioletniej dziewczynki, która uciekła ze szpitala. Zgroza ogarnęła bohatera. Tytu dorosłych, silnych pielęgniarzy, szuka jednej małej dziewięcioletniej dziewczynki. Pojechał dalej. Oczyma wyobraźni widział historię biednego jasnawoskiego aniołka, którego zła moucha oddała do szpitala, a zli psychiatrzy przy pomocy brutalnych pielęgniarzy trzymają w zamknięciu. Pomyślał, że musi o tym napisać w prasie, musi pomóc biednemu dziecku, zanim stanie się ono ofiarą psychiatrii, pomóc mu odzyskać wolność. Nagle zaczął jechać wolniej, gdyż zobaczył idące drogą dziecko z wodogłowie. Wydając nieartykułowane okrzyki, machając w sposób nieskoordynowany rękami i śliniąc się, szła drogą wyraźnie bez celu nieduża dziewczynka. Zrozumiał, że spotkał swojego jasnawoskiego aniołka. Zatrzymał samochód, siłą wepchnął do niego dziewczynkę i zawiózł ją do oczekujących pielęgniarzy.

Myślę, że nadal pozostaje otwartym problemem, czy postąpił słusznie, czy powinien odwozić dziewczynkę przemocą pod opiekę ludzi kwalifikowanych w tym celu, czy też pozwolić jej nadal wędrować w poszukiwaniu tej odrobiny wolności drogą, u kresu której czekała ją śmierć. Nie wiem czy któryś z psychiatrów, czy ich przeciwników może z całą pewnością rozstrzygnąć co jest lepsze.

Otoczyć to nie mogące poradzić sobie dziecko opieką nawet przymusową, czy też pozwolić mu biec naprzód, dopóki nie padnie z wyczerpania i głodu, po to tylko, aby chociaż przez chwilę zachłysnąć się mogło złudzeniem wolności.

Najczęściej psychiatrzy mają do czynienia z pacjentem, który zgłasza się sam, z nadzieją, że zwracając się ze swoich cierpień tu właśnie znajdzie zrozumienie i pomoc, której nikt dotychczas nie potrafił mu udzielić.

Czy ją znajduje? Jaka jest liczba tych, którzy jakoby gnębili i trzymają w szachu tysiące. Niewiele osób wie, że psychiatria przyjmuje w poradni przeciętnie sześć, a czasem i więcej osób na godzinę. W takich warunkach szansa na wzajemne poznanie i nawiązanie bardziej indywidualnego, terapeutycznego kontaktu, jest niska. W szpitalu natomiast jeden lekarz pełni dyżur na sześciuset pacjentów.

Czy jest w stanie przy takiej proporcji w sposób istotny im pomóc? Nie wiem.

Wiem jednak, że psychiatry starają się robić wszystko, co jest w ich mocy, aby nie zawieść oczekiwań, czują jednakże w miarę upływu lat coraz wyraźniej, że mury szpitala wokół nich i wokół pacjentów coraz bardziej się zacieśniają. Wielu lekarzy rezygnuje z tej specjalności, nie mogąc dłużej pracować w warunkach, w których wszelkie idee nie wytrzymują zderzenia z rzeczywistością.

Mury otaczające psychiatrię mogłyby już runąć, pozwalając ludziom z obydwóch stron poznać się lepiej. Lepsze poznanie na pewno doprowadzi do zredukowania lęku. Albowiem czasem myśląc, że spotkam śliczną dziewczynkę spotykamy zaślaniętego potworka, a oczekując spotkania potworka, spotykamy śliczną dziewczynkę. A do rozstrzygnięcia z kim mamy do czynienia, doprowadzić nas może jedynie lepsze poznanie.

Mam również wątpliwości, czy słusznie robią młodzi, zdolni, początkowo pełni zapału lekarze, którzy rezygnują z psychiatrii. Nigdy, będąc w szkole, nie miałam pewności, czy Juddym powinien być odepść wrzucając do sadzawki dyrektora, czy też zostać i starać się zmienić te warunki.

Nerwowy głos w słuchawce telefonicznej:

— Po przeczytaniu komunikatów prasowych o wprowadzeniu abonamentów na mleko w proszku wpadłam w skrajną rozpacz. Do tej pory uganiałam się, żeby zdobyć kilogram mleka. Zwalniałam się z pracy, żeby odstać swoje w kolejce. Wiedziałam dobrze, że poranna dostawa tego produktu nie dotrwa do południa. Kiedy nie udało mi się zwozić z pracy, pożyczalam u zaprzyjaźnionych matek. Przecież to jest dla dzieci artykuł pierwszej potrzeby. Teraz mleka, i owszem, ma być pod dostatkiem, ale dla niemowlaków, które nie skończyły jeszcze roku. Co natomiast ja mam począć, skoro moja mała ma już półtora roku, a niedawna próba przestawienia jej na mleko butelkowe skończyła się długotrwałą chorobą...

Przytoczona wypowiedź Czytelniczki jest jednym z wielu sygnałów, jakie dotarły do naszej redakcji w ślad za komunikatami o systemie ścisłej reglamentacji pełnotłustego mleka w proszku, który wszedł w życie 2 czerwca 1980 r. Decyzja ta — zamiast spodziewanej ulgi, żeby nie powiedzieć radości — wzbudziła wiele niepokojów.

NA WYSOKIM SZCZEBLU

Nowy system sprzedaży mleka w proszku jest następujący: wyznaczone placówki handlowe wystawiają będa na podstawie książeczek zdrowia dziecka karty abonamentowe, opiewające na 2,5 kilograma mleka miesięcznie, które wykupować będzie można — do czasu ukończenia przez dziecko jednego roku — na terenie całego kraju w wytypowanych sklepach. W miejskim województwie łódzkim sprzedaż taką — na zasadzie pełnej ciągłości — prowadzić ma 50 placówek handlowych.

Decyzja ta zapadła na wysokim szczeblu. Zastępczyni dyrektora Wydziału Handlu i Usług Urzędu Miasta Łodzi — Bogdana Sekowska prezentuje mi kilkunasturowy odpis dokumentu, podpisanego przez ministra handlu wewnętrznego i usług, w porozumieniu z ministrem zdrowia i opieki społecznej oraz prezesami CZSR „Samopomoc Chłopska” i CZSS „Społem”. Nosi on nazwę: „Decyzja nr 2/KZR ministra handlu wewnętrznego i usług z dnia 10.04.1980 r.”.

— Sprawa mleka w proszku — mówi dyr. B. Sekowska — dojrzewała do radykalnego rozwiązania od długiego czasu. Mimo dostaw utrzymujących się na statym poziomie, właśnie latem występował dotkliwy niedobór mleka. Nie jest żadną tajemnicą, że mleko w proszku wykupywali — w całym zresztą kraju — prywatni wytwórcy lodów i wyrobów ciastkarskich, powodując się tu względami tak ekonomicznymi, jak i sanitarnymi. Nowy system zagwarantować powinien prawidłowe zaopatrzenie w ten deficytowy artykuł wszystkie niemowlęta w wieku do jednego roku. Ewentualna nadwyżka, a taka wystąpi na pewno, gdyż dostawy będą nieco większe, sprzedawana będzie poza abonamentami.

Na temat zasadności tej decyzji, pani dyrektor woli się nie wypowiadać, wyjaśniając: — Decyzja zapadła na szczeblu ministerstwa, naszym zadaniem jest więc sprawne i prawidłowe wcielenie jej w życie, a nie dyskusowanie nad tym, czy jest słuszna, czy też nie.

Tymczasem wiele wątpliwości co do słuszności tej decyzji mają rodzice małych dzieci. Jeden z naszych rozmówców pyta wręcz:

— Dlaczego za nieliczną część pracownikom handlu, za jego niedowład i bałagan płacić ma ucziwy obywatel? Dotychczasowy system sprzedaży mleka za okazaniem książeczki zdrowia dziecka był słuszny. Gdyby ta zasada była ściśle respektowana, mleka by nigdy nie zabrakło. Tymczasem, jak się okazuje, mleko to „przeprywano” w hurtowych ilościach do prywatnych lodziarni i cukierni. Czy rzeczywiście jesteśmy tak słabi, że nie możemy przeciwdziałać takim — łatwym przecież do uchwycenia — nadużyciom? Czy problem ten trzeba było rozwiązać na zasadzie wylewania dziecka razem z kąpielą?

W OPINII LEKARZA

Wątpliwości mają przede wszystkim ci rodzice, których dzieci skończyły już lub wkrótce skończą rok. Nawet i ci, którzy mają paromiesięczne zaledwie maluchy martwią się, co się stanie, gdy prawo ich dzieci do mleka w proszku wygaśnie.

Decyzję powzięto w porozumieniu z ministrem zdrowia i opieki społecznej, zaś abonamentowe normy obliczył Instytut Matki i Dziecka. Minister się nie martwi, nie protestował, więc i rodzice powinni spać spokojnie, bez obaw o zdrowie własnych dzieci, o które zatroszczył się tak wysoki urząd.

Niestety, wątpliwości mają również i pediatrzy. Poprosiłem o opinię w tej sprawie doświadczonego lekarza praktyki, specjalistkę chorób dziecięcych — dr Janinę Krawczyk, która stwierdziła:

— Przyznam się, że decyzja o abonamentach upędziła mnie w poważne zakłopotanie. Sam pomysł — wo-

bec ustawicznych, dotkliwych braków tego produktu — może jest i słuszny. Niestety, w sposób administracyjny ustalono tu granicę wieku niemowlęcia, po przekroczeniu której musi ono być już karmione mlekiem normalnym, butelkowym. A nie jest to takie proste. My, lekarze, zazwyczaj odradzaliśmy młodym matkom zbyt wczesne rezygnowanie z mleka w proszku. Moim zdaniem niemowlę powinno być odżywiane mlekiem w proszku do dwóch lat, a czasami i dłużej. Granicy tej zresztą nie da ustalić się jednoznacznie, do każdego dziecka należy stosować indywidualne podejście. Zdarzają się przecież częste przypadki niedoboru lub braku laktacji u dzieci, kilkuletnich nawet, które po prostu nie tolerują mleka w postaci naturalnej. Te dzieci skazane są na mleko w proszku, gdyż mleka z ich jadłospisu wykreślić całkowicie nie można, jako że ma ono zasadnicze znaczenie w żywieniu człowieka, zwłaszcza w o-

będą wydzierane z kart abonamentowych lecz jedynie osteplowywane w kasie. Instrukcja ma więc wydzierać jednolity: nowy system uchronić ma nieskazitelny handel przed nadużyciami ze strony podstępnych matek!

O co więc tutaj chodzi?

NIE TAKI DIABEŁ STRASZNY

Na kilka dni przed ogłoszeniem decyzji odwiedziłem jedną — z 11 na terenie Łodzi — placówek handlowych, sprzedających mleko w proszku: sklep Wojewódzkiej Spółdzielni Mleczarskiej przy ul. Piotrkowskiej 22. Mleka, oczywiście, nie było, tylko przy wyjściu poniewierali się puste opakowania. Krótka rozmowa z kierowniczką sklepu, Genewą Dobroszk:

— Mleko dostajemy trzy razy w tygodniu. Po 600 kilogramów. Taki jest rozdziałnik. Cała dostawa starczy ledwie na jedną zmianę: łók, ścis i po mleku. Jak nigdzie nie ma mleka, to ludzie i z Piotrkowa

Większość ma chyba jednak swoje „dojścia” w handlu. Cena — mówi pan? Ja, proszę pana, płacę w „swoim” sklepie po 40 zł od pudełka, co daje mi 80 za kg, czyli 8 litrów mleka po 10 zł. Co na tym zarabiam? Po pierwsze, odpada mi transport konwi. Po drugie, nie ma ryzyka, że mleko się trafi do kłtu. Po trzecie, w razie niepogody nie stracę, mleka nie muszę wylewać do rynsztoka, bo proszek przecież nie kwaśnieje. A jak u mnie się nie marnuje, to i państwo na tym korzysta, no nie? Po czwarte, mam z głowy san-epid i spokojny sen, że się ludzie u mnie gronkotoczą nie najedli. Zebym to mógł kupić legalnie, to pewnie, że bym tę samą cenę państwu płacił, bo co ma się na mnie sklepowa wzbogacać, a ludzie wilkiem patrzeć, jak na jakiego przestępcę?

Dzieci i lodziarzy nie są jedynymi pretendentami do mleka w proszku. Są jeszcze turyści, którzy targają ze sobą za granicę mleczny proszek, że-

chodzi tu o poważne przedsięwzięcie inwestycyjne. Rzecz sprowadza się w zasadzie do dobudowania, mówiąc najprościej, drugiej „wieży”, służącej do odparowywania mleka, a także do drobnych uzupełnień w posiadanym sprzęcie. W ciągu dwóch lat moglibyśmy podwoić produkcję pełnotłustego mleka w proszku. Jeszcze jednak nie ma decyzji w tej sprawie, która rozpatrywana jest przez naszą centralę.

Centrala — to Centralny Związek Spółdzielni Rolniczych „Samopomoc Chłopska”, który podaje następujące dane:

Mleko w proszku dotowane jest w wysokości 28 zł za 1 kg, a więc paczka mleka powinna kosztować 33,50, a nie 19 zł, jak obecnie.

Wzrost produkcji mleka w proszku: 1970 — 8,9 tysiąca ton, 1975 — 12,7 tysiąca ton, 1978 — 19,8 tysiąca ton.

Modernizacja, a zwłaszcza przystosowanie linii produkujących mleko odtuszczone, w Pińcowie, Lipsku i Sieradzu miały zwiększyć krajową produkcję do 23 tysięcy ton rocznie. Inwestycje nie przebiegały jednak zbyt pomyślnie, gdyż — na przykład — w proszkowni sieradzkiej, która miała korzystać z kotłowni tamtejszej „Siry”, trzeba było budować kotłownię własną, co spowodowało, że mleko w proszku dla niemowląt produkowane jest obecnie w Sieradzu z przerwami i w ilościach szatkowych: na pełną produkcję trzeba będzie jeszcze poczekać.

„Samopomoc Chłopska” planowała ponadto na lata 1981—85 budowę nowych zakładów w Słupsku i Rzeszowie, a także rozbudowę proszkowni w Chodzieży i Krośniewicach, co miało już zaspokoić nasze potrzeby.

Proszkownię mleka odtuszczonego wzniesiono w ostatnich latach w Kutnie, czyli kilkanaście kilometrów od Krośniewic. Dyrektor Z. Matraszek z krośniewickiego zakładu nie chciał się, niestety, wypowiadać na ten temat, aczkolwiek — przyparty do muru — przyznał, że sensowniejszym rozwiązaniem byłaby rozbudowa proszkowni w Krośniewicach. Tak, lecz Krośniewice — to rynek, a Kutno — rolnictwo, bo proszkowe mleko odtuszczone przeznaczone jest na paszę.

O ile mleko dla niemowląt produkuje tylko dziesięć proszkowni, to mleko dla cieląt aż kilkadziesiąt. Rozmiary i dynamika produkcji mleka paszowego są również dużo wyższe.

Czy zmniejszenie jego produkcji na rzecz „proszku” pełnotłustego jest możliwe? Nie jest to wielki problem inwestycyjny — w grę wchodzi tu kilka urządzeń z pakowarką mleka w torebki polietylenowe na czele. Są, oczywiście, problemy technologiczne, są inne przeszkody, w sumie jednak nie jest to zbyt skomplikowana operacja. Zwalniając, że w grę wchodziłyby tu znaczne w sumie przesunięcia w strukturze produkcji. Dlaczego mówię o przesunięciach? Nikt bowiem rozsądny w obecnej sytuacji nie może się domagać wielkich inwestycji.

Czy mleko paszowe jest tak niezbędne dla naszego rolnictwa? Czy aż w takich ilościach? Podobno tak, chociaż nikt — na szczęście — nie próbuje utrzymywać, że cielę jest ważniejsze, niż półtoraroczne dziecko lub schorowana staruszka.

Przyjmijmy jednak, że mleko paszowe jest wręcz niezbędne, że musimy wciąż zwiększać jego produkcję, lecz nie sposób pominąć i w tej sprawie pewnych wątpliwości, którym dał wyraz jeden z moich rozmówców, rolnik ze wsi podłódzkiej:

— Z tym mlekiem na paszę, to jest tak: trzymam było mleczne, to i kontraktuję mleko. Wózą to moje mleko — a to panie, przecie woda prawie sama — kilogramy całe, żeby je odwirować i odparować, na proszek przerobić. A potem ja ten proszek kupuję, do chaty wiozę, wody dolewam i bydelko poje. Próczno to wósenie i cała robota. Zebym to ja jeszcze swoje mleko z powrotem dostał, a tak to nie wiem, czy ten drugi dostawca czegoś w banku nie wysypał albo nie dołał, żeby mu nie kwaśniało? Albo co gorsza, czy jego krowa przypadkiem nie jest chora i moje się pozarządza...

Produkcja, skup i przerób mleka to temat sam w sobie, wymagający odrębnego, głębokiego potraktowania. Pełnotłuste zaś mleko w proszku, to drobny wycinek tej niezwykle skomplikowanej dziedziny naszego życia gospodarczego. Drobny, ale jakże dokuczliwy, czekający wciąż na kompleksowe i perspektywiczne rozwiązanie, jakim na pewno nie jest „Decyzja nr 2/KZR ministra handlu wewnętrznego i usług”.

Zamiast końcowego komentarza przypomnijmy tylko, że Polska ze swoimi 17 miliardami litrów znajduje się na piątym w świecie, a czwartym w Europie, miejscu pod względem produkcji mleka. W wymiarze globalnym. Przeciwnie natomiast na jednego mieszkańca jest jeszcze bardziej imponująca: z naszymi 487 litrami wyprzedzani jesteśmy zaledwie przez Nową Zelandię i nieznacznie — przez NRD.



JACEK INDELAŁ

BURZA W SZKLANCIE... MLEKA

kresie dzieciństwa. Decyzją tą jestem zaniepokojona również i z tego powodu, że obowiązywać ona zaczyna w okresie letnim, który jest szczególnie przeciwny do wprowadzania tego typu zmian w żywieniu niemowląt. Przedstawienie trzynastomiesięcznego — powiedzmy — niemowlaka z mleka w proszku na mleko butelkowe grozi poważnymi zaburzeniami jego organizmu, niesłychanie przecież wrażliwego. Niewielkie też pocieszenie, że mleko w proszku typu „Bebiko” czy „Laktovit” nie podlega tym ograniczeniom. Przedstawienie małego dziecka z prostego mleka w proszku na tego rodzaju witaminizowane mieszanek jest także niebezpieczne dla jego zdrowia właśnie szczególnie w okresie letnim.

WĄTPLIWOŚCI MOŻNA MNOŻYC

Decyzja ta sprawia wrażenie — mówiąc najogólniej — nie do końca przemyślanej. Także i pod względem organizacyjnym.

Każda matka w każdym z wyznaczonych sklepów o każdej porze dostanie należytą jej dziecku abonamentową porcję mleka?

Może z początku, przez tydzień czy miesiąc, kiedy trwać będzie akcja „mleko” i wszyscy „święci” — właściciele z inspekcją handlową — czuwać będą nad jej sprawnym przebiegiem, kiedy personel sklepów — w obawie przed kontrolami — ściśle jeszcze przestrzegać będzie nowych zasad, kiedy służby zaopatrzeniowe i transportowe stać będą na baczności czekając na telefon, że w sklepie nr 1 w Parzęczewie (to nie kpina, lecz autentyczny: jeden z wytypowanych sklepów) zabrakło właśnie mleka i trzeba je na gwałt dowieźć.

Z początku, a potem? Wszystko wróci do normy. W sklepie przy ul. Dostojevskiego 2 (Widzew-Wschód) matki wykupować będą mleko na potęgę, tak że ciągle go będzie brakowało, podczas gdy matki ze wsi Lublankowo karmić będą swoich roczniaków mlekiem prosto od krowy, przez co półki sklepu nr 11 ugiąć się będą od przeterminowanego mleka.

Gorzej: przedsiębiorczy personel sklepów orientuje się szybko, że może spokojnie nadal zaopatrywać w ten cenny produkt swoich stałych odbiorców z sektora prywatnego. Jedynie pewnie nieoficjalna cena podskoczy, bo będzie po temu okazja. A ryzyko? Zadnie! Będą przecież nadwyżki, które dadzą się łatwo „pomylić” z mlekiem abonamentowym. Do tego zaś sprzedaż na abonament (w przeciwieństwie do talonów na cukier) nie będzie w żaden sposób rejestrowana. To znaczy będzie, ale nie w tę stronę! Instrukcja bowiem przewiduje, że miesięczne talony nie

Trybunalskiego i z Rawy Mazowieckiej do nas przyjeżdżają. Ale tylko w sezonie wiosenno-letnim, bo jesienią czy zimą mleka nam w zasadzie starczy, chociaż dostawy bywają nawet nieco mniejsze.

Dystrybutorem mleka jest w Łodzi — a w kraju analogicznie — Wojewódzka Spółdzielnia Mleczarska. W 1975 roku sprzedała ona mleka w proszku 654 tony, w 1976 — 794 tony, w 1978 — 886 ton, a w 1979 — 859 ton.

Rozmawiam z-cą prezesa zarządu — Stanisławem Fontańskim oraz z-cą dyrektora Zakładu Obrotu Towarowego WSM — Henrykiem Wojdą:

— Mleko w proszku otrzymujemy z rozdziałnika. Przedtem sprawa ta leżała w gestii Centralnego Związku Spółdzielni Mleczarskich. Był to zresztą okres, kiedy nie występował jeszcze tak ostry deficyt. W ostatnim czasie wielkość przydziałów ustala Ministerstwo Handlu Wewnętrznego i Usług wspólnie z CZSS „Społem”, które jako podstawę obliczeń przyjmują liczbę niemowląt zgłoszoną przez dane województwo. Ponieważ jest to rozdziałnik dość sztywny, wiele mleka „odpłynęło” z dużych aglomeracji miejskich na wieś, gdzie zapotrzebowanie na mleko w proszku jest z natury rzeczy odpowiednio mniejsze. Nie to jednak przesądza o dotkliwych brakach na rynku. Niedobór ten — jak wiemy — ma charakter zdecydowanie sezonowy: utrzymuje się od maja do września.

W pozostałych porach roku popyt niemal równoważy się z podażą. Publiczną tajemnicą jest, że latem spora część „proszku” sprzedawana jest nielegalnie prywatnym producentom. Charakterystyczne, że jeszcze parę lat temu potentatem w produkcji lodów była spółdzielczość mleczarska, teraz zaś sektor prywatny tak dalece się rozwinął, że zdystansował nas całkowicie. A produkować lody z mleka w proszku opłaca się drobnym wytwórcą z wielu powodów.

PO DRUGIEJ STRONIE LADY

Rozmawiam z prywatnym wytwórcą lodów.

— Był taki czas, że wymagano od nas bezwzględnie, żebyśmy do produkcji lodów używali tylko proszku, było go pewnie wtedy pod dostatkiem, a teraz — kłopot! Lato idzie i człowiek musi „głódkować”. Nie tylko u mnie mógłby pan w koszu od śmieci znaleźć kartoniki po mleku. Każdy ratuje się, jak może. Są na pewno frajerzy, co ciągle z prawdziwego mleka robią. Są też tacy, co mają swoich „współpracowników” z księżeczkami zarobku, na które wykupują po dwa opakowania na raz, obracając w kilku sklepach.

by zaoszczędzić parę dolarów czy lewów. To jednak marginesy.

Liczebniejszą grupę stanowią zapewne emeryci, zwłaszcza samotni, chorzy, niedołężni. Litotliwsze ekspedientki nie jednemu z nich sprzedawały do niedawna na lewo mleko w niewielkich ilościach. Właśnie, niewielkich. Samotni, potrzebujący przysiółkowej szklanki mleka dziennie. Chorzy czy zniechęceni, dla których codzienne wędrówki do sklepu są poważnym problemem, zaś na opłacanie roznościciela po prostu ich nie stać. Często to mleko było dla nich zbawieniem produktem.

Nie wiem, czy zadano sobie trud, aby dokonać przybliżonego chociaż szacunku faktycznych potrzeb. Szasunk, który uwzględniaby wszystkich zainteresowanych, od niemowląt, poprzez małe dzieci, turystów i emerytów, do prywatnych lodziarzy, którym można by przecież zaproponować zaopatrzenie w hurcie po odpowiednio podwyższonych cenach, w przypadku zaś wykrycia nielegalnych źródeł zaopatrzenia — surowo ich karać!

W ogóle, czy możliwe byłoby zwiększenie produkcji tego mleka do rozmiarów równających podaż z popytem?

MÓC CZY CHCIEĆ

Łódź otrzymuje mleko z proszkowni w Krośniewicach.

Krośniewice, Słupsk, Siedlce, Rypin i Września. W tych pięciu miejscowościach z początkiem lat pięćdziesiątych uruchomione zostały — z inicjatywy i z pomocą UNICEF — pierwsze w Polsce proszkownie mleka dla niemowląt. Był to jeden z punktów programu walki — tak, walki! — o zmniejszenie śmiertelności i zachorowań u niemowląt. Wzrastające szybko potrzeby doprowadziły do wybudowania w następnych latach pięciu dalszych proszkowni mleka pełnotłustego w Mławie, Koninie, Krotoszynie, Lipsku i Sieradzu.

Krośniewice — jeden z najstarszych, bo liczących pół wieku, zakładów mleczarskich w kraju — są już po kolejnej modernizacji. Część urządzeń i aparatury UNICEF wymieniono na nową, wydajniejszą. Zwiększyła się produkcja mleka w proszku: z 1149 ton w 1956 roku do 2 800 ton w 1979 roku.

— Ilość ta jest górnym pułapem naszych możliwości — mówi dyrektor krośniewickiego zakładu, Zenon Matraszek. — Właściwie przekroczyliśmy już o kilkaset ton własne zdolności produkcyjne. O dalszym zwiększeniu produkcji nie ma mowy bez rozbudowy zakładu, co postulujemy od pewnego czasu, zwłaszcza że nie

Kiedy się czyta po latach manifesty polskich kolorystów, uderza w nich niezachwiana wiara w autonomiczność wypowiedzi malarstwa, która wspólna chyba wszystkim poszukiwaniom, które miały na celu oczyszczenie sztuki z obcych naleciałości. Przypomnijmy choćby słynną wypowiedź programową kapistów, którzy na początku lat trzydziestych stwierdzali przecież, że „głównym warunkiem powstania obrazu jest jego koncepcja malarska. Niezależnie od tego czy płótno było malowane z wyobraźni czy z natury, zawsze musi być widoczny malarski powód, dla którego zostało stworzone”. Ta szkoła, która demonstracyjnie odwracała się od wszelkich „niemalarskich” treści, która przedmiotem swego zainteresowania uczyniła grę światła i cienia, głównie zresztą światła używanego za pomocą rozbielonych kolorów, wydała artystów tej miary, co J. Cybis, T.P. Potworowski, Z. Walliszewski czy wreszcie H. Rudzka-Cybisowa. Czy można się dziwić, że absolwent krakowskiej ASP Zdzisław Głowacki, uczeń H. Rudzkiej-Cybisowej przejął się postulatami, że „płótno musi być rozstrzygnięte po malarsku”? Koloryzm w Polsce był spóźnionym powiewem dwudziestowiecznej sztuki europejskiej rodem z Paryża, ale mimo anachroniczności swoich postulatów teoretycznych, był przede wszystkim szkołą doskonałego warsztatu. I jeśli dziś podziwiamy u Głowackiego pewność pędzla, kunszt w rozkładaniu rytmów, to na pewno musimy wspomnieć artystów, którzy patronowali jego debiutowi.

Był to zresztą debiut spóźniony przez wojnę, która pokrzyżowała plany młodziutkiem studentowi krakowskiej akademii. W czasie okupacji, mając się najrozmaitszych zajęć, od przewijania silników elektrycznych po ukończony kurs buchalterii, który zapewnił mu skromne stanowisko urzędnicze w częstochowskim „Stradomiu”, nie chce wyrzec się całkowicie marzeń o działalności twórczej. Maluje wówczas wiele akwarelowych portretów na zamówienie prywatnych mecenasów z kręgu częstochowskiej inteligencji. Nie potrafimy dziś nie powiedzieć o tych pracach, nie wiemy nawet, czy się ktośś zachwycił, ale nie lekceważymy tego okresu „amatorszczyzny” w życiu Głowackiego jako ważnego etapu zdobywania samodzielnych doświadczeń w sztuce portretu, której do dziś pozostał wierny.

Profesjonalny debiut Zdzisława Głowackiego, który wyznacza jego pierwszą indywidualną wystawę zorganizowaną w r. 1949 w Zakopanem, zatytułowaną „Sport w sztuce”, związany jest zresztą nie z malarstwem, a z grafiką. Nie bez wpływu na to ukiernikowanie pozostawała chyba sytuacja materialna młodego artysty: zakup farb, płótna, ram i blejtramów to już inwestycje, podczas gdy w grafice wystarczy piórko i karton. W tym samym roku, po powrocie z Krakowa do Łodzi, która jest rodzinnym miastem Głowackiego, otrzymuje asystenturę w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Atmosfera uczelni, ówczesne spory ideowo-artystyczne w gronie profesorów reprezentowanych przez takie nazwiska jak Ormowski, Jaeschke czy Byrski z jednej strony i Strzebiński, Wagner czy Modzelewski z drugiej, nie pozostała bez wpływu na poglądy i ewolucję twórczą młodego malarza. Teoria widzenia zdobywała sobie coraz większe prawo obywatelstwa, choć i postimpresjonizm nie rezygnował ze swoich pozycji. Można zaryzykować twierdzenie, że to postimpresjonistyczny koloryzm dał Głowackiemu przygotowanie warsztatowe, podczas gdy teoretyczne postulaty Strzebińskiego i jego szkoły, wyculiły go na społeczny sens sztuki. Obie tendencje stały się

zresztą wkrótce niemiłe widziane, gdyż nastąpił okres schematyzmu, który głównym bożyszczem uczynił temat, a nie jego rozwiązywanie formalne, chociaż swoiste kodyfikacji uległy nawet sprawy warsztatowe. Głowacki, przypisany mechanicznie do koloryzmu, nie miał wtedy łatwego życia, jego obrazy z trudem torowały sobie drogę na wystawy okęgowe, o prezentacjach indywidualnych w ówczesnych warunkach w

stawie w warszawskim Arsenale, która trwale zapisała się w annałach polskiej sztuki.

W Łodzi, w roku 1955, takim „arsenalem” była indywidualna wystawa Głowackiego w galerii IPS w Parku Sienkiewicza, na której, jako jeden z pierwszych w Polsce (nie wolno bowiem zapominać o poszukiwaniach Tadeusza Kantora) artysta przedstawił prace taszystowskie. Ale taszym Głowackiego nie był tylko

WYRAZIĆ TAJEMNICĘ ŚWIATA

KONRAD FREIDLICH



Zdzisław Głowacki z pasją debiutanta będzie dokonywał nowych poszukiwań formalnych.

Foto: R. Łucyszyn

ogóle nie mogło być mowy. Schematyzm był niekorzystny dla przyszłości polskiej sztuki nie tylko jako doktryna fetyszyzująca wartości pozaartystyczne. Od stereotypów ideologicznych i politycznych znacznie groźniejsze były stereotypy personalne. A jednak stał się cud: w schyłkowym już co prawda okresie schematyzmu, obrazy Głowackiego, dalekie od koturnowej sztywności obowiązującego kanonu, utorowały sobie wreszcie drogę do publiczności; przyszły zakupy i uznanie. Kiedy oglądałem te prace na retrospektywnej, jubileuszowej wystawie Głowackiego zorganizowanej niedawno w Muzeum Historii Miasta Łodzi uderzyła mnie ich świeżość spowodowana chyba tym, że artysta świadomie czy nawet nieświadomie przemycił do nich podstawowy postulat kapistów: rozwiązanie czysto malarskie. Oczywiście odpowiednio zmodyfikowany, gdyż kompozycję barw musiała zastąpić kompozycja przestrzenna. Ale ze swoim przygotowaniem warsztatowym mógł się Głowacki pokusić o malowanie portretów ówczesnie popularnych ludzi.

Rzecz paradoksalna: nie była to ze strony Głowackiego koncepcja na rzecz nowej ideologii, na rzecz dokonywającej się rewolucji społecznej. Wybory polityczne, rozterki ideologiczne, miał już dawno za sobą, wychował się przecież w środowisku lewicy społecznej, w łódzkiej rodzinie o robotniczej tradycji. Musiał za to rezygnować, jak niemal wszyscy w tym czasie, z poszukiwań osobistych, z twórczej przygody. Ale z próby tej wyszedł zwycięsko, swoją malarską pasją potrafił mimo wszystko złamać obowiązujące schematy i socrealistyczne prace bronią się z perspektywy czasu.

Przełom październikowy, nowa polityka kulturalna zapewniająca swobodę i nieskrępowany rozwój każdemu artyście otworzyły przed Głowackim nieznane dotąd możliwości. To nie przypadek, że wziął udział w decydującej o utrwaleniu się nowych tendencji słynnej wy-

reakcją na ograniczenia schematyzmu, który musiał ustąpić pod naporem nowej fali. Taszym był jakby powtórnym debiutem malarza, który mógł wreszcie odsłonić swoje prawdziwe oblicze. Postimpresjonistyczny koloryzm postarzał się już bardzo w Europie, zwłaszcza w świetle doświadczeń wojny. Ekspresjonizm typu informel dawał znacznie większą szansę spontanicznej wypowiedzi, był jednocześnie próbą dojrzałego warsztatu, gdyż pozornie niekontrolowana gra farb rozlewanych po prostu na płótnie, wymagała od artysty znacznego doświadczenia, aby osiągnąć zamierzony efekt. Poszukiwania taszystowskie spożytkował potem Głowacki z powodzeniem w grafice jako ilustrator książek. Znalazł tam własny, rozpoznawalny na pierwszy rzut oka, język przekazu.

To chyba już wtedy zrodziło się w Głowackim przekonanie, które wyraził w lapidarnym zdaniu: „Abstrakcjonizm to realizm XXI wieku”. W eliminowaniu wszelkich iluzji do form obserwowanych w naturze widział szansę rozwojową sztuki malarskiej zagrożonej przez rozwój fotografii, kina i telewizji. Ze niebezpieczeństwo to jest realne, potwierdza nam choćby moda na hiper-realist i wszystkie próby odrodzenia naturalizmu. Dla Głowackiego to zimne, pokolorowane fotografie są już nie tylko iluzją rzeczywistości, która malarstwo starało się w różnych okresach naśladować, ale wręcz iluzją malarstwa, czemu nie raz dawał wyraz w swoich wypowiedziach programowych.

Reakcją na to „zwyrodnienie” sztuki malarskiej mogło być tylko odejście od wszelkiej iluzji, nawet iluzji trzech wymiarów. Stąd chyba zrodził się stały cykl obrazów-reliefów stanowiących próbę połączenia dwójwymiarowej przestrzeni malarskiej płótna z trójwymiarowym, dotykowym, konkretnym. Robią te obrazy wrażenie jako całość, zwłaszcza kiedy prześledzi się gre rytów, bo świadomie unika Głowacki gry linii.

Cykl kolejny, który można nazwać „biologicz-

nym”, świadczy o tym, że granice spekulacji teoretycznej są dzisiaj w sztuce mimo wszystko wąskie, że odejście od przedmiotowości nie oznacza całkowitego wyzwolenia, gdyż rzeczywistość upomni się w końcu o swoje prawa. Cykl „biologiczny” to cykl z pozoru abstrakcyjnych obrazów, w rzeczywistości zaś naśladowanie immanentnych form natury. Nie chodzi tu oczywiście o naśladowanie sensu, ale o wszelki imitacjonizm jest Głowackiemu programowo obcy. Są to raczej obrazy o ładunku filozoficznym, dalekie jednak od jakiegokolwiek fabularyzacji czy literackości. Na swoich płótnach artysta stara się wyrazić jakby kod przetrzenny przyrody, która nie zna linii prostych, ani koła, jako sztucznych twórców człowieka wraz z całą nauką geometrii.

Myszę, że ta wizja wyrażenia po malarsku tajemnicy świata, nie opuszczała Głowackiego nigdy, choć nie powiedział jeszcze swojego ostatniego słowa. Jest przecież artystą poszukującym, który próbuje się sprawdzać nie tylko w różnych formach wypowiedzi, ale także w różnych tworzywie. Przecież wcale nie marginalną część jego twórczości stanowią mozaiki, z upodobaniem też próbował zrealizować się w technice sgraffito, choć wobec oszczędnościowych budżetów budownictwa sztuka monumentalna ma stosunkowo skromne u nas możliwości. Nie zaniechał też Głowacki swoich poszukiwań w dziedzinie portretu. Zwraca zwłaszcza na siebie uwagę ogromny cykl zatytułowany „Galeria Budowniczych Polski Ludowej”. Obrazy te wyrosły z najlepszych doświadczeń humanizmu heroicznego, który był zawsze w tradycji polskiej kwalifikacją etyczną i ideową. Głowacki ukazał nam na tych portretach ludzi żywych, myślących, trapiących rozterkami.

Nie wątpię, że Głowacki z pasją debiutanta będzie dokonywał nowych poszukiwań formalnych. Jego temperament twórcy wymaga ciągłego ruchu, który także jest jednym z pryncypiów przyrody.

BURSIUS

a następnie profesor i wieloletni rektor Akademii Zamojskiej urodził się w Brzezinach około 1560 roku w rodzinie mieszczańskiej. Był on ciotecznym bratem Szymona Szymonowicza — znanego poety łacińsko-polskiego i filologa.

Adam Burski kształcił się początkowo w lwowskiej szkole katedral-

nej, zaś od roku 1579 studiował w Akademii Krakowskiej. W roku 1580 otrzymał stopień bakałarza nauk wyzwolonych (bakalaureat — najniższy tytuł naukowy), a potem powołany został na stanowisko nauczyciela w szkole katedralnej we Lwowie, której przez kilka lat (1587—1590) był rektorem. Po ponad dziesięcioletniej ożywionej działalności pedagogicznej na gruncie lwowskim, w roku 1593 zdobył kolejne stopnie akademickie (naukowe) — magistra i doktora filozofii. Wtedy to zaczął wykładać w krakowskiej wyższej uczelni, obejmując w niej katedrę na Wydziale Nauk Wyzwolonych.

Kiedy w roku 1595 Jan Zamoyski — konclerz i hetman wielki koronny — zakłada Akademię w Zamościu, to jednym z jej organizatorów — obok Szymona Szymonowicza i Szymona Birkowskiego (filozof, lekarz, tłumacz, wydawca, profesor i rektor Akademii Zamojskiej) — zostaje właśnie Adam Burski. Niedługo też po tym ważnych w dziejach polskiej

oświaty fakcie, jakim niewątpliwie było powstanie wspomnianej uczelni, powołano go na katedrę filozofii moralnej w tejże akademii. Miał to miejsce w styczniu 1597 roku. Na stanowisku profesora wymienionej katedry uczony z Brzezin pozostawał aż do śmierci (zmarł 15 lutego 1611 roku), pełniąc swe obowiązki gorliwie i właściwie. Dowodem uznania dla jego działalności pedagogicznej i organizacyjnej było wielokrotne obdarzenie go — równocześnie z zajmowaniem stanowiska profesora — zaszczytną funkcją rektora Akademii Zamojskiej. Swemu bliskiemu współpracownikowi Jan Zamoyski powierzył wychowanie syna Tomasza.

Do wymienionych już zasług Adama Burskiego należy dodać i to, że był on inicjatorem ruchu naukowego i szeregu przedsięwzięć naukowowydawniczych. Zapisał się na trwałe w dziejach jako współtwórca Drukarń Akademickiej. Adam Burski stał na czele profesorów walczących o świeckość Akademii Zamojskiej i

jej niezależność od władz duchownych.

W obfitym dorobku pisarskim uczonego (drukowanym i pozostałym w rękopisach) największe znaczenie ma „Dialectica Ciceronis” („Dialektyka Cyncerona”), składająca się z siedmiu ksiąg, wydana w Zamościu w roku 1604. Praca ta powstała z inicjatywy Jana Zamoyskiego, który chciał, ażeby obok Arystotelesa, poznano także zasady innych szkół filozoficznych, a zwłaszcza stoickiej. Adam Burski odwozył w swym dziele logikę stoików, co stanowiło doniosły czyn naukowy. Jego „Dialektyka”, na 16 lat przed ukazaniem się pracy angielskiego filozofa Francisca Bacona pt. „Novum Organum”, dała podstawę empirycznej metodologii nauk i nowy wykład praw logiki zdaniowej. Posługując się formą dyskusji, przedstawia ona dojrzały wyraz renesansowego eklektyzmu w dziedzinie teorii poznania i logiki.

Adam Burski, zachowując stanowisko eklektyczne, przychylił się ku

teorii poznania i logice stoików, z jej sensualizmem i empiryzmem. Szczególnie ważne dla metodologii nauk jest zwrócenie przez niego uwagi na indukcję jako postępowanie poznawcze.

Na zakończenie warto zacytować opinię Adama Andrzeja Witulika o uczonym rodem z Brzezin, zamieszczonej w książce pt. „O Zamojskich, Zamościu i Akademii Zamojskiej” (Lublin 1978) wydanej z okazji obchodzonych obecnie uroczystości 400-lecia Zamościa:

„Burski był naturą samodzielną, miał własny, krytyczny punkt widzenia. Cechowała go niezależność charakteru, ruchliwość i rzutkość, głód wiedzy i poznania, samodzielność umysłowa i niechęć do utartych szlaków. Zakochany w pięknie myśli antycznego świata, szerzył słowem i piórem zamilowanie zarówno do mówców starożytnych, jak i do etyczno-politycznej myśli grecko-rzymskiej”.

HENRYK SZUBERT



Wacław Kondek: Don Kichot. Litografie

WSTĘP DO REWOLUCJI

Po pierwszomajowych wypadkach w Łodzi atmosfera jakby się nieco uspokoiła. Docierają do łódzian wiadomości o tym, co działo się 1 maja 1905 roku w innych miastach Królestwa Polskiego. 5 maja 1905 roku „Rozwój” donosi z Warszawy:

„Dziś rano po kilkudniowej przerwie wyszły pisma warszawskie. W dniu 4 bm., jak donosi „Goniec Warszawski”, od rana zapanował zwykły tryb życia: otwarto sklepy, magazyny, na ulicach pojawiły się tramwaje i dorożki”.

Ale w Warszawie nadal było niespokojnie. Podobnie zresztą jak w Łodzi. W tych dniach chowano właśnie ofiary pierwszomajowych starć z policją i wojskiem.

„W ciągu ostatnich dni — pisał w korespondencji z Łodzi pismo SDKPiL „Z pola walki” — w Łodzi zostało ranionych i zabitych ogółem około czterdziestu osób. Jest to liczba najniższa, ponieważ odpowiadająca danym urzędowym. Zabitych jest co najmniej dziesięć osób (sześć nazwisk jest nam znanych)”.

SDKPiL szykowała demonstrację na cześć ofiar. Demonstracja ta miała przejść ulicą Piotrkowską. Ale wieść o tym dotarła do policji i na ulicy Piotrkowskiej było wtedy tyle wojska, że nie sposób było demonstrować, aby znów nie padli ranni i zabici. Wtedy postanowiono ogłosić na 15 maja 1905 roku strajk powszechny, na znak protestu przeciw mordowaniu demonstrujących robotników.

Walka z caratem i burżuazją toczyła się w różny sposób. Powszechną bronią był strajk. Fabrykanci do walki ze strajkującymi próbowali używać wojska i policji. Nie zawsze się to udawało, wszakże powodowało coraz silniej rosnącą nienawiść do policji i wojska, jako najbardziej widocznej i dającej się odczuć siły caratu, uosobienia jego przemocy sprzymierzającej się z burżuazją.

„Na policję padł kompletny popłoch — donosi z Łodzi „Z pola walki” w nr 9 z 1905 roku. — Policmajster tutejszy Chrzanowski, lotr, jakich niewiele, wziął urlop i pojechał do swego majątku na wieś. Tam się czuje, widząc, bezpieczny”.

3 maja 1905 roku ciężko raniono rewirowego Poniatowskiego, bardzo przez robotników znienawidzonego. Tego dnia strzelano do rewirowego Marmuzowa, ale chybiło. Marmuzow ponoć uciekł po tym za granicę. Był to już drugi zamach na jego życie.

W kilka dni później rozpoznano szpicla Andrzeja Maciaszka. Seigano go aż na dach, gdzie próbował uciekać przed rozwścieczonym tłumem. Ale go dopadli, na ziemię zwiekl i niemal na strzępy rozerwali. Nie pozwolono nawet lekarzowi Pogotowia na udzielenie szpicelowi pomocy. Dopiero zabrali go koczacy do szpitala, gdzie zmarł. Tego dnia jeszcze trzech szpicli poturbowano.

Sprawa ta znalazła nawet odbicie na łamach „Rozwoju”. 12 maja 1905 roku gazeta zamieściła informację o napadzie braci Feliksa i Władysława Dospiełko na Stefana Czupryńskiego, który miał brać udział w zamordowaniu agenta policji śledczej Andrzeja Maciaszka. Bracia Dospiełko zeznali, iż widzieli Czupryńskiego, jak „leciał, trzymając w ręku kamień, z zamiarem zadaną nim ciosu Andrzejewi Maciaszkowi”. Coś jednak było nie tak z tymi zeznaniami, bo 19 maja 1905 roku tenże „Rozwój” zamieścił następującą informację:

„O zabójstwo agenta. W charakterze obwinionych o udział w zabójstwie agenta policji śledczej Maciaszka, pociągnięci zostali do odpowiedzialności z mocy art. 1489 i 1490 kod. karnego: Władysław i Feliks Dospiełko oraz Józef Zimecki i Władysław Janiszewski”.

W tym miejscu trzeba kilka słów napisać o „Rozwoju”. Gazeta wychodziła w Łodzi od grudnia 1897 roku. Wychodziła z przerwami od 1931 roku. W podtytułach miała: „dziennik polityczny, przemysłowy, ekonomiczny, społeczny i literacki, ilustrowany. Wychodził codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt”. Wydawali ją: Wiktor i Tadeusz Czajewscy. Wiktor Czajewski był redaktorem naczelnym. Pismo miało „kantory własne” w Warszawie, Pabianicach i Zgierz. Ukazywało się na 8 stronach, w tym półtora strony ogłoszeń. Dawało w miarę szeroki przegląd wiadomości z Łodzi i ze świata. Było silnie cenzurowane, o czym wielokrotnie informowało czytelników, donosząc, kto cenzuruje informacje i artykuły publikowane w „Rozwoju”.

Była to gazeta, która wprowadziła deklarowała się jako: „Dziennik niezależny od żadnej partii”, ale sympatiami bliska była endecji. Z wielu informacji zamieszczanych w „Rozwoju” daje się odczuć silną niechęć do Żydów. Obwinia się ich o wiele nieszcześć i wydarzeń, ja-

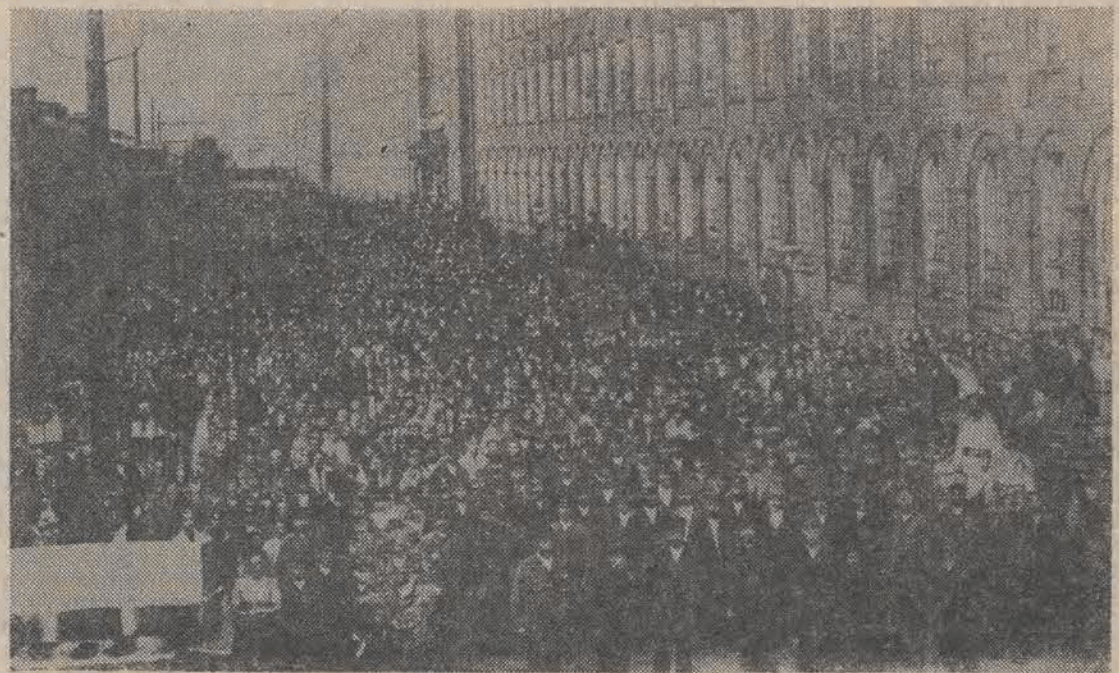
kie miały wówczas miejsce w Łodzi. Mimo wszystko jest to źródło ukazujące w miarę ówczesnych możliwości wiele ciekawych zjawisk i wydarzeń, charakterystycznych dla ówczesnego i społeczne narastającej fali rewolucji proletariackiej.

MAJ 1905 ROKU W FABRYCZNEJ ŁODZI

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Kiedy w pierwszych dniach maja 1905 roku rośnie fala strajków, a pracy odmawiają nie tylko robotnicy w fabrykach, ale czeladnicy piekarscy, murarscy, ślusarscy, fryzjerscy, pracownicy księgarni i kelnery, „Rozwój” dokładnie informuje o ich żądaniach, wysuwanych pod adresem majstrów i właścicieli. Żądania te nie zawsze znajdują przychylny adresata. Dochodził wszakże do ugody, do wzajemnych ustępstw. Mimo to żądania stale rosły. Wyszukiwano je coraz to nowe grupy pracowników, rzemieślników, robotników. Wreszcie 29 maja 1905 roku dochodzi do spotkania w lokalu Giełdy łódzkich fabrykantów „w celu odbycia narady nad teraźniejszym położeniem, wywo-

łęsających się nieznanym osobnikom, z których jeden odłączył się od swych towarzyszy i podszedł do wzmiankowanego stółkowego, zaczął mu udzielać się do domu oraz grozić użyciem siły: „Nie potrzebujemy waszej ochrony; my sami zaprowadzimy porządek; jeśli nie pójdziesz, będzie źle”. Po jakimś czasie Drapiński zszedł z posterunku i udał się w stronę wejścia do fabryki Scheiblera, tam bowiem znajdowali się strażak i dozorca, ale w tym momencie podeszło do niego znowu kilku osobników z inną walącą się kompanią i zaczęli mu iść do domu mówiąc: „Idź, bo cię przepędzimy, kacapie, a w dodatku odbierzemy szablę i rewolwer”.



Strajk w łódzkiej fabryce

lanym stawianiem natarczywie żądaniemi robotników i zachowaniem się ich”. „Rozwój” dalej pisał o tej naradzie:

„Robotnicy stawiają tak wygórowane żądania, że fabrykanci nie są w stanie w teraźniejszych warunkach zadośćuczynić. Domaganie się załatwienia sprawy połączone jest z faktami samowoli ze strony robotników. Zarówno osobistości, jak i majątki fabrykantów narażone są na niebezpieczeństwo.

Wychodząc z tej zasady fabrykanci po dłuższej dyskusji postanowili wysłać zbiorową petycję drogą telegraficzną do general-gubernatora warszawskiego o przedsięwzięcie środków ochronnych, zabezpieczających osoby, jak i majątki właścicieli fabryk”.

Tego dnia, 30 maja 1905 roku, jak wynika z informacji „Rozwoju” w Łodzi strajkowało 20 tysięcy robotników w 49 fabrykach.

Ale gazeta zamieściła też inną ciekawą informację. Otóż zastrzegła się, że już nie będzie publikować pełnej listy robotniczych żądań, jak to czyniła do tej pory, ale „już ostateczne rezultaty układów, jako fakty spełnione”. A będzie robić tak dlatego, że „wiele tych żądań było bajejnie przesadzonych”. Słychać w tym stwierdzeniu wyraźne echo narady fabrykantów, odbytej poprzedniego dnia w gmachu łódzkiej Giełdy.

W miarę upływu czasu walka z policją i wojskiem przybiera na sile. To już nie zdesperowany tłum rachuje się ze znienawidzonymi ciemiężcami, to już zdecydowana postawa wszystkich robotników daje o sobie znać. Policmajster m. Łodzi, radca stanu I. Chrzanowski donosi o stosunku robotników do policji w raporcie do gubernatora piotrkowskiego M. Arcimowicza:

Nie był to wypadek odosobniony. Tego samego dnia robotnicy nie wpuszcili policjanta Mikołaja Bęgenda do portierni fabryki Ludwika Geyera, a na ulicy Zarzewskiej, robotnicy chodząc szeregiem po chodnikach zmusili stółkowego Siemieniuka, aby zszedł na bruk i miał ich po bruku. Tegoż dnia robotnicy nie wpuszcili do fabryki Winklera i Gärtnera rotę 38 Tobolskiego pułku piechoty. Posterunkowego Bartłłskiego zmuszono do opuszczenia posterunku, rewirowego Mikulę do powrotu do domu, rewirowych Horodeckiego, Łokiszyka i Fejchę odczylił Żydzki na ul. Smugowej i rozpięchli się dopiero po oddaniu kilku strzałów przez Horodeckiego.

Przez cały maj 1905 roku strajkowali robotnicy Łodzi. Fala strajków narastała i opadała. Strajkowano na przemian. Kiedy strajkowali jedni, pracowali inni i pomagali strajkującym. Solidarność była pełna. Kiedy strajkowali czeladnicy piekarni żydowskich, wspomogli ich czeladnicy piekarni chrześcijańskich. Strajk został wygrany.

Strajki stały się powszechną bronią o poprawę warunków pracy i życia oraz o prawa społeczne i polityczne. Stróż domów domagali się podwyżki płac, księgarze — płatnych urlopów i zmniejszenia godzin pracy, powszechnie domagano się zakładania kas chorych, płacenia w pełnym wymiarze w czasie choroby spowodowanej wypadkami przy pracy, przerwy na posiłki. Niemal codziennie odbywały się spotkania i zebrania z delegatami. Spotykano się w ogrodzie Millera przy ul. Mikołajewskiej 40 (ul. H. Sienkiewicza), w hotelu Manteuffla, w lokalach „Lutni”, „Liry”, w gospodach czeladniczych. Na wieść o strajkach i żądaniach ro-

botniczych w Łodzi do strajku przystępowano w Pabianicach, Zgierz, Ozorkowie.

Strajkujący nie tylko wysuwali żądania, ale też rozprawiali się ze znienawidzonymi majstrami i dyrektorami.

16 maja 1905 roku „Rozwój” donosił: „W fabryce Karola Bennicha i Arona Wojdyśławskiego robotnicy niezadowoleni z postępowania zarządzających fabrykami, wynieśli ich na ulicę”.

A oto inna wiadomość z 19 maja 1905 roku z „Rozwoju”:

„Zawieszenie pracy. Dziś o godzinie 7 rano robotnicy w liczbie 130 przyszedli do fabryki wstążek jedwabnych Tow. Akc. Czamańskich przy ul. Piotrkowskiej nr 96 — i najpierw wynieśli na ulicę obermajstra Albitza, wrzucili go do rynsztoka, a następnie wrócili do zarządu fabrycznego, postawili za warunek, że jeśli do jutra nadmajster nie będzie wydany — wszyscy robotnicy zastrajkują”.

W fabryce Winklera i Gärtnera wyrzucono za bramę zarządzającego Alberta Szyllera, w fabryce K. Scheiblera wyniesiono na ulicę dyrektora K. Kozłowskiego oraz majstrów Rimerę i Ekkera. Właściciela fabryki D. Freidenberga — Hermanna Freidenberga zaproszono na spotkanie z robotnikami, obiecując, że nic mu się nie stanie. Słowa dotrzymali, nie wypuszczając go jednak z fabryki, dopóki nie przysłał na ich żądania. Annę Geyer, kiedy wsiadała do powozu, aby wyjechać z Łodzi, robotnicy na rękach wnieśli z powrotem do mieszkania, „osławiając — jak to ujął w raporcie do gubernatora M. Arcimowicza — policmajster I. Chrzanowski — iż będzie im, być może potrzebna”. Anna Geyer uciekła z domu pieszo, boczny wyjściem.

„Wczoraj o godz. 3 po południu (18 maja 1905 roku — przyp. L. W.) — donosił „Rozwój” — przy ul. Podlesnej, obok domu współwłaściciela firmy budowlanej Nestler i Ferrenbach, również przed domem p. Ferrenbacha zebrało się około 400 pracowników mularskich, którzy domagali się, aby ich pracodawcy porozumieli się z nimi w sprawie zakończenia bezrobocia. Współwłaściciele firmy pod eskortą tiumu przeprowadzeni zostali do kantoru firmy, przed którym nastąpiła segregacja pracowników, ci, którzy pracowali w tej firmie, weszli na podwórze, reszta zaś pozostała na ulicy.

Po półgodzinnych naradach pp. Nestler i Ferrenbach piśmiennie zobowiązali się płacić od 18 kop. za godzinę pracy i zgodzili się na 9-godzinny dzień roboczy. Po skończonych układach cała masa pracowników mularskich udała się do innych majstrów, z którymi w podobny sposób kończyli układy...”

Zdecydowana i nieprzejednana postawa robotników nie tylko wobec kapitalistów, ale również wobec majstrów i zarządzających, zmusiła ich do zastanowienia się nad powstającą sytuacją. 1 czerwca 1905 roku w sali koncertowej Sellina odbyło się zebranie Zarządu Stowarzyszenia Majstrów Fabrycznych, na które przyszło 950 osób. Przewodniczący zebrania Morstynkiewicz oświadczył, iż celem narady jest zacytowanie odpowiedzi na pytania: — co jest przyczyną wynoszenia majstrów z fabryk? — jak temu bezpośrednio zaradzić? W zebraniu majstrów wzięli udział przedstawiciele Tomaszowa Mazowieckiego i Pabianic. Wybrano 12-osobową grupę majstrów, którzy mieli pełnić rolę sądu polubownego w sporach z robotnikami.

Odpowiedź na postawione pytania majstrowie łódzcy mogli znaleźć w piśmie SDKPiL „Z pola walki”, które w nr 10 pisało:

„Majstrowie łódzcy, jak się okazało na zebraniu publicznym przy starciu głosów obu stron zainteresowanych, to pachołkowie kapitalu najgorszego rodzaju. Grubiańskie obchodzenie się z robotnikami, deptanie na każdym kroku jego godność, łapownictwo, nikczemny stosunek do robotnic, które majstrowie napaśtują, traktując uczciwe kobiety jak ładacznice, nikczemne zachowanie się wobec fabrykantów, dla którego majster jest nie tylko pomocnikiem w gniebieniu robotnika, w wyściskaniu zeń krowego potu, ale w interesie którego przyjmuje nawet ohydny rolę stręczyciela, rajfur — oto oskarżenia, które robotnicy na zebraniach (...) wypowiedzieli w gorących słowach panom majstrom, które potwierdził nawet przedstawiciel fabrykantów, a które odepchnię nie byli w stanie sami oskarżeni, publicznie pod pręgierz postawieni”.

W atmosferze walki, rosnącego napięcia minął maj 1905 roku, zbliżał się upalny czerwiec.

NIE TYLKO HISTORIA

Jerzy Rózewicz jest historykiem nauki, specjalizującym się w badaniach wzajemnych stosunków naukowych między Polską, a jej wschodnim sąsiadem w szczególności w XX wieku. Po długiej serii artykułów, drukowanych w polskiej i zagranicznej prasie naukowej, uwieńczył swo-

do znalezienia w księgarniach: sam natrafił na nią przypadkiem, kiedy już zrezygnował z dalszych, zdawałoby się bezowocnych poszukiwań. A rzecz to warta uwagi, ba — można nawet powiedzieć — że pod wieloma względami wręcz rewelacyjna.

Polski Ludowej — to czasy międzywojenne są najwyraźniej zaniedbane. Z pewnością rację ma J. Rózewicz, kiedy w wstępie do swojej książki powiada: „Stosunek do polskiej, jak się wydaje, najmniej wie o polsko-radzieckich stosunkach naukowych w okresie istnienia II Rzeczypospolitej, a wiedza ta często ma cechy poważnych uproszczeń. Jednym z takich uproszczeń jest na przykład traktowanie wszystkiego, co czyniła ówczesna Polska, jako niesłusznego i szkodliwego Związku Radzieckiemu. Generalnie rzecz biorąc, stwierdzamy, że władze sprawujące władzę w Polsce były rzeczywiście nieprzychylnie usposobione do państwa radzieckiego, ale nie mogły ignorować zupełnie wschodniego sąsiada; o to dopominali się nie tylko Komuniści, lecz także ludzie nauki i kultury, liczne rzesze robotników i postępowej inteligencji, a nawet niektórzy przedstawiciele polskich sfer przemysłowych i handlowych”.

Przytoczone zdania, aczkolwiek znalazły się na otwarcie książki uczonego, są właściwie konkluzją jego szeroko zamierzonych i wnikliwych badań. J. Rózewicz

jest typem badacza, szczególnie uwrażliwionego na fakt historyczny, na historyczny szczegół; potrafił ich zebrać ogromne mnóstwo i ułożyć z nich mozaikowy niemal, zaskakujący nowymi, bogaty w szczegóły obraz całości. Jest też jego monografia rezultatem wielu lat pracy, podsumowaniem badań, prowadzonych zarówno w zbiorach krajowych — których J. Rózewicz wykończył aż jedenaście — jak i zagranicznych, radzieckich z Moskwy i Leningradu. Wśród wszystkich przez badacza materiałów znalazły się m.in. cenne, a rzadko wykorzystywane w badaniach, spuścizny różnych uczonych, zdeponowane w archiwach podległych akademiom nauk obu krajów.

Zajmując się najmniej znanymi dziejami wzajemnych stosunków nauki polskiej i radzieckiej w okresie II Rzeczypospolitej, J. Rózewicz skupił swoją uwagę na takich zagadnieniach, jak wyjazd uczonych polskich do ZSRR i przyjazd badaczy radzieckich do Polski, udział w naukowych zjazdach i konferencjach, organizowanych w obu krajach, wspólne prace w różnych naukowych komisjach i komitetach. (Uwagi

badacza nie uszły również skomplikowanej sprawie obustronnej kolportażu wydawnictw naukowych, wzajemnych publikacji prac naukowych, wymiany informacji, jak wreszcie powoływania uczonych na członków organizacji i towarzystw naukowych w obu krajach. Obfity materiał faktograficzny — podkreśla autor — wykorzystano „pod kątem widzenia form współpracy, zwracając mniej uwagi na wzajemne wpływy i ideologiczne oraz na podobieństwa i różnice w pojmowaniu przez władze polityczne i środowiska naukowe społecznej roli i funkcji nauki”. J. Rózewiczowi chodziło przede wszystkim o zaprezentowanie obszernego materiału faktów, odpowiednio opracowanego, uporządkowanego i przedstawionego czytelnikowi w logicznym porządku. Nie dziwi, że nie starał się wchodzić w rozważania, które prowadziłyby go na szersze pole historii społeczno-politycznej. Będąc historykiem nauki nie może być w równym stopniu specjalistą od wszystkich dyscyplin badawczych, o których wypadło mu mówić w jego książce; nie prowadził też samodzielnych poszukiwań w zakresie hi-

storii politycznej, a jedynie szeroko wykorzystywał istniejące już badania w tej dziedzinie.

Na ponad trzystu stronach swej monografii zawarł J. Rózewicz mnóstwo informacji, z których przeważająca większość była dotąd w ogóle nie znana. Rzadko kto, nim ukazała się ta praca, mógł mieć bodaj wyobrażenie o tym, że wzajemne kontakty nauki polskiej i radzieckiej były w okresie II Rzeczypospolitej — mimo wszystkich ograniczeń politycznych — tak wielostronne i tak szerokie, jakimi przedstawia je J. Rózewicz. Trudno nie zgodzić się z autorem, kiedy pisze on na zakończenie swej książki, że pomimo nie sprzyjających warunków kontaktów „przyniosły one jednak efekty”, i że można je „traktować jako ważne spoiwo tradycji związków i współpracy rosyjskich i radzieckich naukowców z uczonymi polskimi, związków służących sprawie rozwoju nauki i zbliżenia naszych narodów”. Jest niezaprzeczalną zasługą J. Rózewicza, że potrafił to udokumentować.

ANDRZEJ F. GRABSKI

POLSKO-RADZIECKIE KONTAKTY NAUKOWE 1918-1939

je badania książką. Nosi ona tytuł: „Polsko-radzieckie stosunki naukowe w latach 1918-1939” i ukazała się niedawno (1979) w Ossolineum, w ramach wydawnictwa Instytutu Historii Nauki, Oświaty i Techniki PAN, w niezbyt wielkim nakładzie (tysiąca egzemplarzy). Ponieważ znaczna część nakładu została z pewnością przeznaczona — jak to zwykle dzieje się z publikacjami Instytutu PAN-owskich — na wymianę zagraniczną, książka od chwili ukazania się jest trudna

O stosunkach naukowych Polski i Rosji, potem Związku Radzieckiego, pisze się u nas i w ZSRR coraz więcej, raz po raz też pojawiają się artykuły i monografie, rzucające nowe światło na dotychczasowy obraz wzajemnych kontaktów w dziedzinie nauki, dopełniające go nowymi faktami. O pracach tych pisałem już nieraz na tym miejscu. Rzecz jednak w tym, że o ile wiele jest publikacji o tych stosunkach w XIX stuleciu oraz w czasach najnowszych — w okresie

Dalszy ciąg ze str. 1

(współ z Igozem Sikirycym) antologii poezji azerbejdżańskiej „Złote kamienie” oraz wiele innych przedsięwzięć. Chrościelewski jest autorem prac z zakresu eseistyki historycznoliterackiej i filologii. Od dawna tłumaczy poezję i prozę rosyjską i radziecką (w tym poezję białoruską, ukraińską i litewską). Za dorobek translatorski otrzymał Dyplom Honorowy Rady Ministrów ZSRR oraz Dyplom Honorowy Zarządu Głównego Związku Pisarzy Radzieckich. W 1973 roku pisarz wyróżniony został nagrodą województwa łódzkiego w dziedzinie literatury i publicystyki, zaś w pięć lat później nagrodą literacką miasta Łodzi. Jest odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi oraz innymi odznaczeniami.

2

Od chwili poetyckiego debiutu upłynęło dwadzieścia lat, nim ukazała się następna książka Tadeusza Chrościelewskiego. Był to wydany w „Czytelniku” zbiór wierszy pt.: „Najmilsze strony”. Rozpoczął on okres systematycznej i owocnej pracy literackiej — bez mała co roku ukazują się książki autora „Szkół dwóch dziewcząt”. Pracowitość idzie w parze z regularnością przemienianego odwiedzenia obszarów liryki i epiki.

Chrościelewski zaczynał od poezji, przyjrzyjmy się tedy i my najpierw sylwetce poety. Prócz wspomnianych opublikował on następujące zbiory wierszy: „Itaka” (1958), „Miejsce utajone” (1960), „Puste krzesło” (1966), „Wiersze opolskie” (1966), „Hipokrene warszawska” (1969, 1971), „Karta powołania, Wybór wierszy” (1973), „Trzy wdzięczne damy i anioł” (1978).

Gdyby przyszło mi określić jednym zdaniem ów poetycki dorobek — najchętniej posłużyłbym się zwyczajnym cytatem z zawartego w ostatnim tomiku wiersza „Tajemniczy ogród i osiemnastka” i powiedział, że utwory Chrościelewskiego

posiadają tak wyraziste kontury jak nakazuje konwencja.

Nim wyjaśnię, o co tu chodzi, małe dygresja. Otóż niektórzy krytycy pomawiają Tadeusza Chrościelewskiego o tradycjonalizm; wolno im tak sądzić, lecz są tak miła się z prawdą. Bo przecież poeta posiada własny styl, oparty przede wszystkim na widzeniu świata przez pryzmat lektury i na artystycznym korespondowaniu ze znanymi wydarzeniami kulturowymi, jednocześnie zaś jest bardzo czuły na wszelkie zmiany we współczesnym poezjowaniu (co nie przeszkadza mu, nawiasem mówiąc, wykorzystywać twórczo literackiej polszczyzny minionych stuleci).

Tadeusz Chrościelewski konsekwentnie posługuje się własną konwencją (w jednym z ostatnich wierszy oświadcza nawet z niejaką dumą, iż „two-

rzy mój niebaczny”. Konwencję tę określa przemieszczanie świata lektur ze zwyczajnym, codziennym życiem. Konsekwencja, jakie stąd płyną, są interesujące, bo płodne poznawczo, co bardzo wyraźnie widać na przykład w cyklu tak zwanych „wierszy-remanentów”. Niekiedy można odnieść wrażenie, iż Chrościelewski swymi wierszami doskonale się bawi.

Czasem napisze o tym wprost:

pisarz tak wyrosł
że nawet dorósł
do swej karykatury.

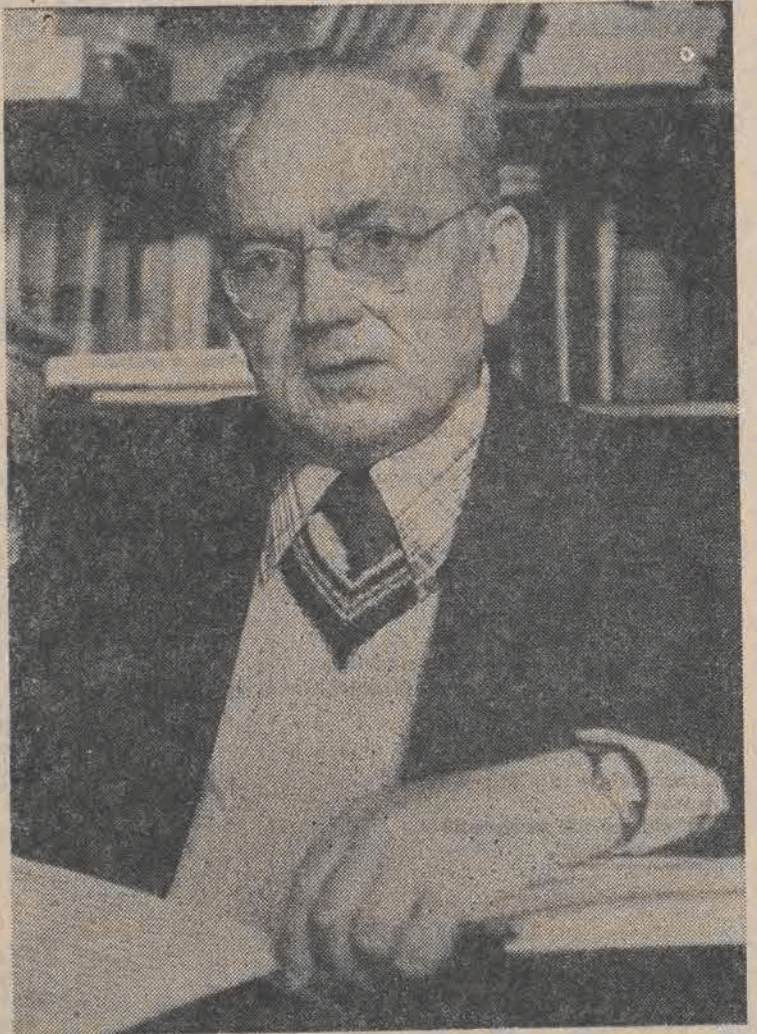
Właśnie, kulturalna, zaś pseudodoktorska, innym znów razem pseudoplebejska, zabawa poetycka, która powinna obok rozrywki dostarczyć czytelnikowi nauki — to jeden z podstawowych tropów interpretacyjnych poezji Tadeusza Chrościelewskiego. W przekonaniu tym utwierdza stosunkowo chętnie stosowana przez autora „Karty powołania” stylizacja, czasem tak wyraża, jak w wierszu pt. „Urodziny” (Die Welt als Wille und Vorstellung, wiotka Trwa, Chwilo Chwilo, jesteś Piękna, Lamanczowski Modus Vivendi, Rosynantowe Curriculum Vitae itp.). Wspomniana formuła nie

ezgi dojrzałej i zrozumiałej dla szerokiego odbiorcy.

Tadeusz Chrościelewski jest autorem powieści: „Rodzina Jednorozców” (1961), „Szkola dwóch dziewcząt” (1965, 1966, 1975), „Szkariatna godzina” (1968, 1970), „Aurelian albo Zjazd koleżeński” (1971), „Srebrna i odloty” (1974), „Laska Matuzalema” (1974), „Dzbanek życia” (1976), „Mój ożenek w krainie Feaków” (1979).

Prozatorska twórczość Chrościelewskiego stanowi swego rodzaju sagę rodzinną, rozbudowaną kronikę dziejów współczesnej (aczkolwiek z przywoływaniem antenatów) rodziny polskiej, rodziny na swój sposób typowej, choć przecież niekoniecznie tej samej w kolejnych powieściach. Często bohaterem tej prozy jest młody człowiek, absolwent podziemnego Uniwersytetu Warszawskiego, który wkrótce po wyzwoleniu osiada w ziemi już nie tyle obiecanej, co po prostu nie zniszczonej przez wojenną zawieruchę, czyli w Łodzi. Filolog, wychowany w humanistycznej tradycji, z niejakim trudem aklimatyzuje się

Wartością nie mniej istotną okazuje się pogodny, dowcipny ton narracji, wyraźnie współgrający z podstawową tezą rodzinną sagi: życie mimo ustawicznych kłopotów i dolegliwości jest piękne, w szczególności zaś życie rodzinne. Poświęcać mu trzeba dużo bacznej, wnikliwej i życzliwej uwagi. Życie rodzinne — jak wiadomo — posiada swoje dobre i złe dni. Te ostatnie autora „Szkół dwóch dziewcząt” w zasadzie nie interesują, koncentruje się raczej na zjawiskach pozytywnych, coraz dokładniej uprzytomnianych w miarę upływu czasu. Byłemu mieszkańcowi Mińska Mazowieckiego, obecnemu obywatelowi „tymczasowej stolicy Polski”, czas płynie szybko i dopiero trzeba chwili wytchnienia, by uświadomić sobie zmiany, jakie za sobą pociągają. „Zauważyłem, że o Mińsku myślę jako o czymś odległym w czasie i przestrzeni. Tym bardziej niesłusznie, że za dwa miesiące znów powiężę swoje dwa czasy: teraźniejszy i przeszły, w tamtym właśnie miejscu geograficznym i że co jak co, ale dla stałego mieszkańca miasteczka nad Srebrną to Łódź jest przecież miejscem, gdzie diabeł mówi



Gdy przestałem być poetą diabelnie młodym, zacząłem sobie raptem użysławiać, że jednym z zadań literatury (...) jest utrwalenie obrazem rzeczy i zjawisk, które dziś są, a jutro może ich nie być i nikt już nikomu o nich więcej nie powie...

TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI „Aurelian albo Zjazd koleżeński”

Foto: J. Mendychowski

UTRWALANIE RZECZY I ZJAWISK

niach. Kilkudziesięcioletnie dzieje tradycyjnego środowiska inteligenckiego ukazał w „Rodzinie Jednorozców”, przedstawiając przede wszystkim stopniowe unowocześnianie sposobu myślenia oraz przemiany obyczajowe. „Aurelian albo Zjazd koleżeński” potwierdza ciągłość patriotycznych tradycji w życiu Polaków. Pisząc o nielatywnej przeszłości naszego narodu Chrościelewski nie szczędił — gdy trzeba — patosu, nie bronił się przed wzruszeniem.

Bohater powieści Tadeusza Chrościelewskiego jest człowiekiem wykształconym, znawcą mitologii, nie więc dziwnego, iż nie brak tu i tamologicznych mądrości. Po prostu mitologiczne uwznioślenia ułatwiają refleksję nad sensem życia, pozwalają dokładniej pokazać nieuchronność, a zarazem celowość, przemijania, pomagają w wytyczeniu kierunku wędrówki. Bo przecież książki Chrościelewskiego nie są niczym innym, jak tylko utrzymaną w polskich realiach relacją z wędrówki utrudzonego Odysa.

Proza Tadeusza Chrościelewskiego towarzyszy również (widoczne jest to zwłaszcza w dwóch ostatnich powieściach) przemianom zachodzącym w Polsce Ludowej na przestrzeni trzech dziesięcioleci. Nie rejestruje wprawdzie bezpośrednio najważniejszych wydarzeń i spraw, lecz ich echa powracają na kartach powieści, przybierając niekiedy postać rodzinnego pamiętnika.

Zwracał się Chrościelewski w stronę przeszłości w wierszach — zwraca się i w powieściach. Typową powieścią historyczną jest „Szkariatna godzina”, której akcja rozgrywa się w Piotrkowie w przededniu powstania styczniowego. Autor ukazuje kształtowanie się patriotycznych postaw młodzieży w dniach Wielkiej Próby sprawdzonych na bitewnych blo-

skich, przejawach, chwytania niepowtarzalności zjawisk, z którymi przyszło mieć autorowi do czynienia. W ten sposób literatura staje się specyficzną formą obserwacji życia w jego zmiennej postaci, rejestruje — by odwołać się do sugestyjnego tytułu jednej z powieści Wilhelma Macha — „życie duże i małe”.

Jakkolwiek oparte na wyraznej autopsji, literackie obserwacje Tadeusza Chrościelewskiego czynione są z pewnym dystansem, o czym najlepiej świadczy poczucie humoru, rodem kto wie czy nie z tradycji Bolesława Prusa. Dzięki temu autor „Dzbanek życia” potrafi ustrzec się przed pokusą apoteozy przedstawianych wydarzeń, potrafi wpisywać je w ogólniejszy mechanizm społecznych i politycznych przemian. Rzeczywistość przedstawiona nie jest przy tym wolna od rozmaitych emocji, jakie towarzyszą narracji. Tak oto dookładniej uwiadamnia się hierarchia spraw i zdarzeń, nie może bowiem być mowy o aktywnym życiu bez uczuciowego zaangażowania.

Przekazywany w utworach Tadeusza Chrościelewskiego obraz rzeczy i zjawisk wywołuje refleksję o potrzebie umiędzynoczenia życia.

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

„KUŹNICA”

„Zespół nasz reprezentuje to skrzydło współtwórców kultury polskiej, a więc i przyszłości narodu, którego postawę określa radykalizm postępowej myśli polskiej.”

Wyrastamy z tej samej gleby, z której przed 150 laty powstało Oświecenie i jakobinizm polski Kołłątaja i Staszica, Jezierskiego i Jasińskiego. Stąd, nawiązując do źródeł narodowych, przywracamy do życia „Kuźnicę” — (...) W kuźnicy radykalnej inteligencji pragniemy wykuć podwaliny postępowej ideologii i kultury polskiej jak najszerszej pojętej — pisał w artykule wstępnym zespół redakcyjny nowego miesięcznika społeczno-literackiego „Kuźnica”. Pierwszy numer ukazał się w Łodzi z datą 1 czerwca 1945 roku, a firmowany był przez niebyle jaki skład redakcji — A. B. Dobrowolski, Mieczysław Jastrun, Zofia Naikowska, Adolf Rudnicki i Stefan Żółkiewski, jako naczelny redaktor. Niedługo potem dołączyli Kazimierz Brandys, Stanisław Dygat, Paweł Hertz, Ryszard Matuszewski, Seweryn Pollak, Adolf Sowiński, Adam Ważyk i Juliusz Żulawski.

Projekt pisma o profilu wyraźnie zarysowanym przez artykuł wstępny, a więc społeczno-literackiego organu myśli marksistowskiej zrodził się jeszcze w 1944 roku w Lublinie, wśród zgromadzonych tam pisarzy o sympatiach lewicowych. Rok czterdziesty piąty i lata następne

to przecież okres ostrej walki klasowej, a w literaturze podzielił i różnicę występujące w społeczeństwie odbicia się z całą siłą. Miała więc „Kuźnica” do spełnienia zadanie olbrzymie.

By sprostać temu zadaniu starał się zespół redakcyjny zgromadzić wokół pisma grono wybitnych współpracowników — pisarzy, krytyków, naukowców — tych wszystkich, którzy przychylnie odnosili się do zachodzących w Polsce przemian. Lista współpracowników „Kuźnicy” jest bardzo długa. Pisali tu filozofowie tej miary co Tadeusz Kotarbiński, Tadeusz Kroński, Stanisław Ossowski. Socjologowie tacy, jak: Józef Chalasiński. Historycy — Konstanty Grzybowski, Witold Kula, Aleksander Litwin. Krytycy literacy i historycy literatury i sztuki — Kazimierz Budzyk, Edward Csaó, Tadeusz Drewnowski, Ewa Korzeniewska, Wacław Kubański, Kazimierz Wyka, Maciej Żurowski. Drukowali w piśmie liczni pisarze: Jacek Bocheński, Tadeusz Borowski, Władysław Broniewski, Stanisław Brucy, Tadeusz Hołuj, Stefan Otwinowski, Julian Przyboś, Jerzy Putrament. Do „Kuźnicy” pisywał także Leon Schiller.

Już w październiku 1945 roku pismo zaczęło wychodzić jako tygodnik. Ta zmiana pozwoliła „Kuźnicy” być nie tylko trybuną literacką, ale i publicystyczną. Dziś, z perspektywy lat, ta publicystyczna działalność jest nie mniej (może bardziej) interesująca od toczących się na łamach pisma sporów literackich.

Uprawiano tu bowiem znakomitą publicystykę polityczną, reagującą na codzienne przejawy

walki ideologicznej — gwałt, terror, niechęć różnych środowisk społecznych.

Publicyści „Kuźnicy” zjadali walczyli z ciągłe jeszcze żywym mitem, o przyrodzonej apolityczności i ponadpartijności inteligencji polskiej. Kolejne publicystyczne inicjatywy redaktorów pisma, brały za cel szkolnictwo, Związek Nauczycielstwa Polskiego, związek literatów, a także młodzież szkolną i akademicką. Bardzo wiele miejsca poświęcono dyskusjom o szkolnictwie wyższym.

Związek Nauczycielstwa Polskiego pozostawał w tamtych latach pod dominującym wpływem PSL. Publicyści „Kuźnicy” brali więc udział w zjazdach nauczycielskich, komentowali ich wyniki, a bardzo często interweniowali w różnych sprawach.

Artykuł Zygmunta Szymanowskiego „O racjonalną politykę w dziedzinie szkolnictwa wyższego” zapoczątkował trzy lata trwającą dyskusję. Jednym z postulatów demokratyzacji życia szkół wyższych było wprowadzenie do senatów przedstawicieli organizacji młodzieżowych. Z inicjatywy ówczesnego rektora, prof. Tadeusza Kotarbińskiego, dokonano się to, po raz pierwszy, właśnie w Uniwersytecie Łódzkim.

Polemiki na łamach pisma toczyły się także z wypaczeniami praworządności, dającymi coraz częściej o sobie znać, tu i ówdzie. Bardzo odważnie krytykowano błędy polityki represyjnej w stosunku do byłych akowców. Z niezwykłą odwagą rejestrowano fakty naruszenia prawa.

„Kuźnica” była pismem otwartym dla młodych

Dość regularnie ukazywały się kolumny młodych, a numer 46 z 1946 roku, w całości poświęcony został młodej literaturze. Choć ukazywały się kolumny młodych, zespół redakcyjny protestował przeciw stwarzaniu barier pokoleniowych. Uważano, że granice napięć ówczesnej literatury nie tworzą w skutku różnic lat.

Tadeusz Drewnowski w zbiorowym tomie wspomnień „Tranzytem przez Łódź” napisał: „Kuźnica” forsowała pewien pogląd na świat. Nie tylko wstecz, w stosunku do przeszłości — także na dziś i na jutro. Tego się szuka najbardziej nie przekroczywszy dwudziestu lat życia. Związków, że odkryliśmy od podobnego komfortu, wojna nas pod tym względem nie rozpieściła. Wszystko zaczęło się od „Kuźnicy”.

12 grudnia 1948 roku ukazał się ostatni numer pisma sygnowany przez Stefana Żółkiewskiego, jako naczelnego redaktora. Zmienił się naczelny, odeszła większość dawnego zespołu, zaczęło się wygłaszanie samokrytyk.

W maju 1949 roku redakcję przeniesiono do Warszawy. Ostatni numer ukazał się wiosną 1950. Niestety, do końca „Kuźnica” nie odzyskała tej pozycji, jaką zajmowała w polskiej kulturze w latach 1945—1948.

Zbigniew Żabiński — autor jedynej jak dotąd poważnej pracy na ten temat pt. „Kuźnica” i jej program literacki”, napisał: „Kuźnica” formułowała pod adresem literatury żądania ideologiczne, ale formułowała je w taki sposób, aby spełnienie ich wynikało z naturalnego rozwoju artystycznego.”

JAROSŁAW WARZECHA

KRYSZYNA KWIATKOWSKA

ANTYGONY ROSNĄ W INNYM KLIMACIE

a w taki mróz
nie grzebie się braci. Heroiczne gesty
odłożymy do wiosny

a jak będzie słońce i pogoda
otworzymy okna, pierwszy oddech
bolesny jak wrzask
rodzącego się obywatela; pierwszy dzień
wolności, pierwszy dzień samotności;
festyn, nad którym już się rozwijają
cieniutkie sieci kłamstw

Pójdziemy se razem do ogrodu
krzykliwy śpiew, zapowiedź
lata. Ono nie zawsze nadchodzi, ale
w ten dzień,
w chorą jeszcze ziemię
można złożyć ciała;
a gdzie są groby, tam jest i nadzieja

Nawąchasz się ziela zielonego
bez pamięci, bez granic, bez
strachu nawet —
zanim
mróz nas nie zamknie w domu,
zanim
pod oknem nie zamarznie
ironiczne „bez”.

WYJAŚNIENIA

Mogliabym zostać w domu,
ze smakiem przyrządzić pokój
święty pokój; mężczyzna
wyczulby to przecież i jak ptak
powracał wieczorami.
Jestem kobietą: mam być
przywiązana do miejsca, mieć
długie ostre paznokcie, siatkę
spojrzeń na motyle na zakupy
mam być skrzętna
oszczędna laski
pełna niewyjaśniona

Malarstwo abstrakcyjne poza tym,
że dąży do uzyskania znaczeń tylko
poprzez wzajemne relacje formalne
elementów kompozycji i materii ma-
larskiej obrazu, jest niejednokrotnie
nasycone silnym ładunkiem emocjo-
nalnym. Tworzą go oddziaływania
formy, narzucające się odbiorcy w
akcie percepcji.

Często najsilniej zaznacza się w
formie kolor i on jest bezpośrednim
źródłem ekspresji. Każda barwa dzia-
ła w swoisty dla siebie sposób, ma
własne cechy fizyczne, percypujemy
ją z określonym nastawieniem psy-
chicznym, emocjonalnym. Nastawie-
nie to wiąże się również z tradycją
kulturową. Narzuciła ona barwom

wami chromatycznymi. W 1913 roku
K. Malewicz, w obrazie „Czarny kwa-
drat na białym tle”, użył bieli i czer-
ni jako barw najbardziej właściwych
dla znaków formy abstrakcyjnej.
Poszukiwanie nowych form dających
się wyrazić tylko za pomocą barw
achromatycznych trwa we współczes-
nym malarstwie ciągle. Okazało się,
że są one podatne konstruowaniu for-
my abstrakcyjnej. Wykorzystują je
miedzy innymi Gierowski, Winiarski,
Gieraga.

Roma Hałat wprowadza do obra-
zów także szarość, dopowiadając
tym samym istotę czerni i bieli. Biel
i czerń tworzą w paletce najgłębszą
opozycję. Szarość jest barwą prze-

CZERNIE, BIELE I SZAROŚCI
ROMY HAŁAT

znaczenia symbolizujące pewne stany
uczuciowe, związała je z określonymi
sytuacjami egzystencjalnymi. Najbar-
dziej obciążone pod tym względem są
biel i czerń.

W powszechnym odczuciu biel,
czern i szarość są widziane raczej
jako zaprzeczenie barwy niż kolor.
Są one jednakże kolorem. Zwane są
barwami achromatycznymi i przystu-
gują im, jak pozostałym barwom
chromatycznym, jakość, jasność, na-
sycenie.

Roma Hałat, której obrazy z lat
1976—80 i rysunki z lat 1976—80 mo-
żemy obejrzeć na wystawie w Ośro-
dku Propagandy Sztuki w Parku Sien-
kiewicza, wybrała jako jedyną barwę
dla swojej artystycznej działalności —
biel, szarość, czerń.

„Pejzaże” to tytuł wspólny dla
obrazów i części rysunków, z których
pozostałe zatytułowane są „Epitafium
dla poety”. Powstawały one w 1976
roku i poświęcała je autorka pamięci
Stanisława Grochowiaka.

Srodki formalne twórczości Romy
Hałat są niezwykle proste. Zreduko-
wane do trzech barw achromatycz-
nych, niegeometrycznej plamy o os-
trem konturze, mocno akcentowanych
podziałów płaszczyzny na poziomy,
piony, skosy.

Malarstwo to, niezwykle ascetycz-
ne, nie traci jednak bogactwa na-
strojów emocjonalnych. Wynikają one
w równym stopniu tak z samych
barw, jak i z kompozycji.

Biel, szarość i czerń były używane
w malarstwie w funkcji światłocie-
niowej i walorowej. Choć artyści mó-
wili wcześniej o potrzebie użycia ich
jako kolorów, dopiero w XX wieku
pojawili się jako barwy wolne. Kon-
struktywizm, malarstwo Kazimierza
Malewicza i El Lissitzky'ego wyzwo-
liły je zupełnie spod presji pozosta-
łych barw palety i umieściły w obra-
zie na prawach równorzędnych z bar-

do końca od początku pełna
tajemnicy umieć gotować
zdradę instynktem
wyczuwać wygodniejsze gniazdo

I włóczę się w męskim przebraniu
po nocy Zaczęłam
bezdolne psy, miasto, przyjaćciół,
siebie
kawał świata

POETKA PROSI O WYBACZENIE

Otwórz się, domie.
Nakryj się, stoliczku
— ja z innej bajki: Krystyna Kwiatkowska,
lat szesnaście, uczennica, niezłomna
pod ciemnym światłem (to
szkolny teatr); potem
trzy miłości sprzedane za słowo poetki. Zresztą,
Akteon żyje. Ja też już nie udaję Diany.
Najwyżej z psem do parku.

Znudził się bunt, znudził się Bóg

— otwórz się, domie. Pukam.
Pukamy: ja i mój pies,
chodząca marność i pogoń za wiatrem.
Otwórz się, domie.
Na kłamek spada ciepła kropla soli —

SKRZYPCE

Zdaje się, że tego dnia
miasto już na dobre oszaleło
kobiety prowadziły lud na rzek
trupu rozkładają się na ulicach
zresztą nie będą opowiadać
Chór im. Świętego Jana
i tak wszystko wypiełwa
na Sądzie

pamiętam tylko że po południu
w muzycznym zoo
urodziły się małe skrzypce

a w wieczornych gazetach już było ogłoszenie:
kwalifikowanego heroda zatrudni przedsiębiorstwo

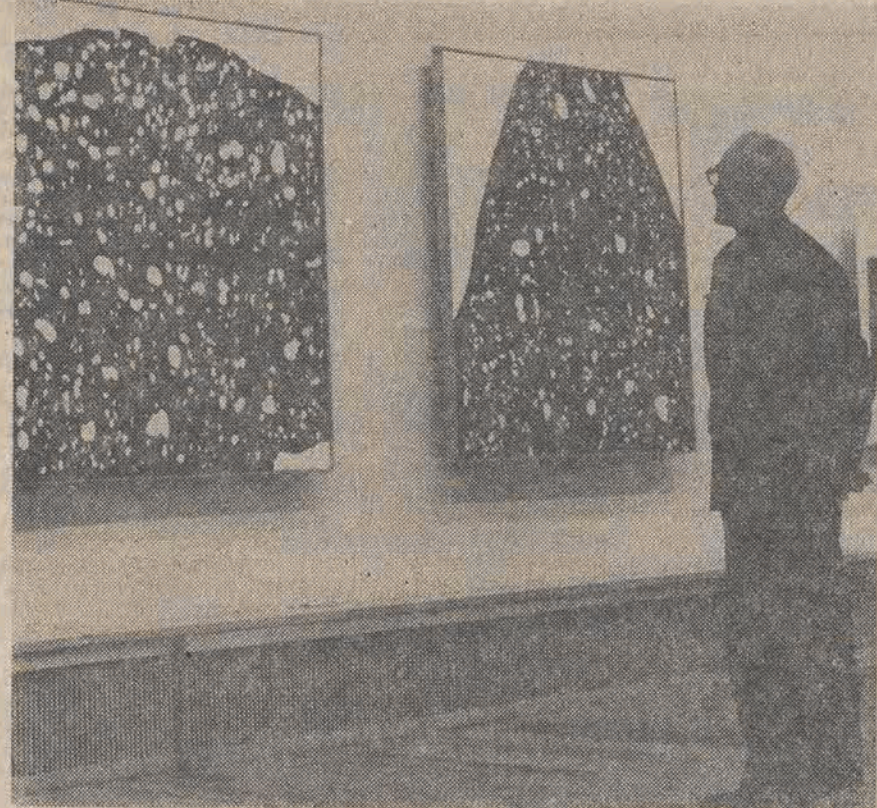
PLASTYKA

niłone zagęszczanymi plamami migo-
cą, sprawiają silne wrażenie ruchu.
Powodują go rozliczne napięcia kie-
runkowe, jakie istnieją pomiędzy
plamami bieli na czarnym tle, lub
czarnymi na białym, bądź szarym.
Napięcia te potęgowane są przez wy-
raźnie zaznaczone linie pionowe lub
skośne oraz ostre kontury plam bar-
wy, zróżnicowanych nasyceniem i
jasnością tak w obrębie plamy, jak
i tła. Powstaje dzięki temu niejed-
nolita przestrzeń, plany bliskości i
oddalenia. Może ona być odczytywana
jako odpowiednik malarski prze-
strzeni rzeczywistej i wtedy obrazy
R. Hałat mogą naprawdę kojarzyć
się z pejzażami, w których coś się
wciąż przemieszcza, dokonuje.

Dla mnie najbliższym skojarzeniem
powstającym na kanwie sztuki Romy
Hałat jest wyobrażenie „pejzażu to-
talnego” — makro- i mikrokosmosu
natury. Skojarzenie to obejmuje rów-
nież rysunki, także te, które są jak-
by automatycznym zapisem poszuki-
wania formy dla wyrażenia stanu
emocjonalnego towarzyszącego twór-
cy podczas aktu twórczego.

Ekspozycja prac Romy Hałat mo-
że być interesująca nawet dla wi-
dza, któremu obce są peregrynacje
sztuki abstrakcyjnej.

MARIA KĘPIŃSKA



Fot. R. Łucyszyn

MACIEJ ŁUKOWSKI

ROZMOWY
O KULTURZE

Czy lubimy chodzić do kina? Nie
oglądając się na statystyki, można
chyba powiedzieć, że lubimy i to lu-
bimy mimo rozwoju telewizji, którą
kiedyś uznano za zagrożenie dla ki-
na. Lubimy chodzić właśnie do kina
do atrakcyjnego przybytku kultury.

ZAGŁĘBIE FILMOWE

w którym sam wystrój gmachu, a-
trakcyjność podania sztuki filmowej,
elegancja świadczonych usług napa-
wa nas podświadomą satysfakcją.

Niechętnie jednak wchodzimy do
odrąpanych i brudnych sal ze skrzy-
piącymi krzesłami, w których przy-
zgrzytającym dźwiękiem i zmieniającej
się jasności obrazu trudno nawet my-
śleć o sztuce filmowej.

Kina mamy takie, jakie mamy.
W większości obiekty bardzo stare,
wymagające szybkiego remontu. Nie
mamy też w tych kinach prawie nic
atrakcyjnego, co poza samym wyda-
rzeniem ekranowym przyciągałoby
nas do nich. Milczą nieciekawie wne-
trza kinowych poczekalni, w których
smętnie oczekuje tłum potencjalnych
widzów, z niepokojem obserwując
zamknięte drzwi sali projekcyjnej.
Czy nie warto owa chwilę oczekiwa-
nia wypełnić czymś, co warto wtedy
zobaczyć, co może zainteresować?
Kiedyś, przed laty, kino „Gdynia”
miało dobry zwyczaj ekspozowania
lalek filmowych, które dla dzieci by-
ły niewątpliwą atrakcją. Możliwość
jest wiele, nawet Teatr Wielki wy-
pełnia przerwy szansą oglądania wła-
snej minigalerii. Warto więc spojrzeć
na nasze kina inaczej, tym bardziej, że
część z nich ma ten zwykły repertuar,
bez „Przemienia z wiatrem” i o wi-
dza kinowego warto zabiegać.

Czy istnieje w Łodzi środowisko
filmowe? Nie jest to, i nigdy nie bę-
dzie, jedno środowisko. I chyba nie
jest konieczne, aby za wszelką cenę
dążyć do integracji. W chwilach, gdy
wspólny interes tego wymaga, środo-
wisko to potrafi się zintegrować i
występować jako swoisty monolit.
Mamy przecież samodzielne wytwór-
nie filmowe: WFF, WFO, „Semafor”,
mamy własny zespół filmowy, mamy
jedyną tego typu w kraju szkołę fi-
lmową. Do pełnego obrazu instytucji
filmowych trzeba jeszcze dodać Stu-
dio Opracowań Filmów, Zakłady Kop-
ii Filmowych i powstające w Mu-
zeum Historii Miasta Łodzi — Mu-
zeum Filmu.

Instytucji filmowych mamy wiele,
ale rodzi się pytanie, czy przeciętny
łódzianin zdaje sobie sprawę z ich
obecności? A może nie musi sobie
zdawać sprawy? Najlepiej powinniśmy
czuć obecność zagłębia filmowego
w samych kinach, w końcu są to
obiekty, które w całości, nie tylko
na ekranach, powinny być wypełnio-
ne filmowymi treściami. Nie zawsze
standardowe foty na ścianach roz-
wiążą problem.

Zacznijmy od szkoły filmowej. Ta
posiada niewątpliwie najlepsze kino
w Polsce, ale z oczywistych wzglę-
dów jest to kino tylko dla wewnę-
trnych potrzeb. Owo „najlepsze” w
tym wypadku przejawia się w reper-
tuarze (no cóż, prowadzi je sekre-
tarz generalny Federacji Klubów
Dyskusyjnych). Łódzka szkoła filmo-
wa ma swą bogatą historię i... bo-
gate w tradycję kłopoty lokalowe.
Mimo swego wyjątkowego charakteru
i powtarzających się co parę lat dy-
spat, czy przeniesie ją do Warszawy,
nie potrafiłaby pomóc jej w rozwią-
zaniu problemów lokalowych. Może
przyczynę inwestycji popchnąć
sprawę naprzód. Ale i szkoła nie
wykorzystuje chyba szansy pełniej-
szego wtopienia swojej osobowości
w kulturalne życie miasta. Z jednej
strony jest to obiekt tajemniczej wie-
dzy filmowej, a z drugiej jakby
gdzieś na uboczu kulturalnych dzia-
łań miasta. Chyba wino leży po obu
stronach (jeżeli o winie można tu mó-
wić). W najbliższym roku planuje

się kilka działań bardziej w mieście
widocznych, jak chociażby rozbudo-
wane „Dni szkoły” czy „Giełdę ta-
lentów filmowych”.

Łódź jest potęgą w dziedzinie fi-
lmu krótkometrażowego. Ogromna w
rozległości tematycznej Wytwórnia
Filmów Oświatowych i ambitny w
poszukiwaniach „Semafor” prezentują
wszystkie odmiany filmu krótkiego —
od dokumentu, przez film oświatowy,
po animację. Tu, w Łodzi, zrodziła
się idea Festiwalu Filmów Krótko-
metrażowych, który później wywę-
dował do Krakowa. Tu mają już
swoje utrwalone tradycje: Przegląd
Filmów Społeczno-Politycznych i Fe-
stiwal Filmów Dydaktycznych, po-
wstają też nowe imprezy — Przegląd
Filmów Przyrodniczych i Przegląd
Filmów Reklamowych. Inicjatywy te
zrodziły się z autentycznych potrzeb
środowiska filmowego. Są one tym

bardziej ważne, że w obrębie krótkie-
go metrażu dobrze zorganizowany fe-
stiwal, poszerzony o seminarium teo-
retyczne, spełnia jedyną w swoim ro-
dzaju rolę integracji „nadawcy” i
odbiorcy, twórcy i widza, producenta
i pośrednika wykorzystującego film
w szeroko pojętym upowszechnianiu.

Z festiwalu tych pozostają ślady w
postaci zapisanych dyskusji, przygo-
towanych referatów. Czasami organi-
zatorzy powielają te materiały, two-
rząc tym samym zrzęby skromnej bi-
blioteki filmowej. Przecież tu, w Ło-
dź, w roku 1947, powstały zaczątki
pierwszego czasopisma filmu krótko-
metrażowego, wydawanego wtedy
przez Instytut Filmowy; potem po-
wstało już czasopismo z prawdziwe-
go zdarzenia — „Film i Oświata”,
które poprzez „Nowy Film Oświato-
wy” przekształciło się w bardzo po-
пулярną „Kamerę”. W latach siedem-
dziesiątych „Kamera” ustąpiła miej-
sca miesięcznikowi „Studio”, który w
chwili swej nagłej „śmierci” zamknął
rozdział istnienia w Polsce prasy zaj-
mującej się specjalistycznie filmem
krótkometrażowym. Jest to strata o-
gromnej wagi (w innych krajach cza-
sopisma tego typu istnieją do dziś).

Film tworzy wokół siebie atmosfe-
rę tajemniczości, atrakcyjności, ba,
marzeń. Ta wielka machina przemys-
łowa, produkująca sztukę, pozosta-
wia na swojej drodze wiele wyjątko-
wych eksponatów (szczególnie w obrę-
bie scenografii), które gina bezpo-
wrotnie. Kilka tygodni temu, w piękn-
nej sali Muzeum Historii Miasta ze-
brali się dyrektorzy wszystkich wy-
twórni filmowych z Polski i zadekla-
rowali swą pomoc w powstawaniu
w Łodzi Muzeum Filmu. Znajdą w
nim schronienie najlepsze fragmenty
dekoracji, kostiumy, rekwizyty, itp.
Otwarte w styczniu Muzeum Lalek
(przy Muzeum Etnograficznym i Ar-
cheologicznym) jest przykładem za-
trzymania uciekającego czasu, który
brutalnie niszczy, wielokrotnie zupeł-
nie wyjątkowe dokonania znakomi-
tych twórców. Tu zostały zachowane
lalki filmowe i teatralne.

Łódź filmowa, to ludzie, to jedyne
w swoim rodzaju i niepowtarzalne
zawody. Z jednej strony obserwuje-
my zjawisko ogromnej popularności
niektórych twórców filmowych (szczeg-
ólnie filmów fabularnych) a z dru-
giej jakby nieświadomość dokonania
tych, którzy swą popularność zdoby-
wają na ekranach całego świata. Tak
jest z filmem popularnonaukowym,
który przynosi chwałę, zdobywając
laury na wszystkich niemal kontynen-
tach. Nie zawsze zdajemy sobie
jednak sprawę z efek-
tów tych sukcesów. Oczywiście ci
twórcy pozostają w cieniu wielkich
filmów fabularnych, pozostają także
w cieniu aktorów teatralnych. Naj-
lepszy dowód, że nigdy dotąd żaden
twórca filmu krótkometrażowego nie
otrzymał jeszcze nagrody miasta Ło-
dź (z racji tego, że jest realizatorem
filmowym). Może to także jedna ze
spraw, o których warto pamiętać.

Łódź jest stolicą filmu fabularnego,
tu istnieje największa wytwórnia.
Gdzie mamy oglądać nowe, wspania-
łe filmy? Może warto pomyśleć o ka-
meralnym, luksusowym kinie w pod-
wórkach ulicy Piotrkowskiej, może
warto zbudować kino samochodowe
w parku na Zdrowiu, może uda się
zaadaptować na kino którąś z wiel-
kich sal nowych zakładów pracy?
Może... Nowe, piękne kina są nam
potrzebne, choć przecież wiemy do-
brze, że nie wyczerujemy ich z rę-
kawa. Ale do pięknych kin lubimy
chodzić i to jest zupełnie normalne.

MUZYKA

Czy pop-music jest sztuką? Czy też jest tylko jednym z elementów inwazji kultury popularnej, adresowanym do przeciętnego gustu masowego, a w zasadzie do upodobań sporej części młodzieży?

Pierwsza połowa lat siedemdziesiątych przyniosła pewien istotny zwrot w ocenie muzyki pop. Są to coraz częstsze próby oceny współczesnej muzyki rozrywkowej jako jednej z form sztuki. W latach pięćdziesiątych we wczesnym okresie rok'n'rolla nikomu nie przychodziło do głowy, aby w odniesieniu do tej muzyki zastosować słowo „sztuka”. Jedni z odbiorców traktowali rok'n'roll jako muzykę maniere-efemerydę, formę zabawy przemijającą, modę, uznając jednocześnie uniwersalizm tej muzyki — inni jako w miarę interesujące zjawisko społeczno-socjologiczne, a jeszcze inni jako dość przekonywujące nowe elementy nowoczesnej muzyki tanecznej i rozrywkowej.

Tommy Steele ze swymi klasycznymi „Rebel rock” i „Rock with the caveman”, Little Richard z „Tutti Frutti” i „Rip it up”, pionier amerykańskiego rocka Gene Vincent, Chuck Berry, Jerry Lee Lewis, Eddie Cochran, no a przede wszystkim Bill Haley i Elvis Presley popularyzują na wielką skalę rock and rolla. Bill (William John Clifton) Haley debiutuje już w 1947 roku, a w roku 1951 wykonuje — wyraźnie zapiskiwany boogie-woogie — „Rock eighty eight”. Ale prawdziwą inwazję rocka powoduje nagranie (14 kwietnia 1954) utworu „Rock around the clock” w dynamicznej interpretacji Haley'a i jego „Comets”. Rock przekracza Atlantyk i trafia do Europy.

Połowa lat sześćdziesiątych przynosi płytę Beatlesów „Sergeant Pepper” i coraz częściej zaczyna mówić się o pop-music jako o sztuce przez duże „S”. Muzyka staje się jak gdyby wyzwaniem rzuconym optymistycznemu światu mieszczańskiemu. Powszechna akceptacja pop-music jest próbą odczyszczenia się od kategorii estetycznych poprzedniego okresu. Próby te zauważalne są rów-

nież w nowych prądach literatury, plastyki, poezji itp. Być może jest to nie zamierzane usiłowanie stworzenia muzyki powiązanej z epoką, mającej odbicie we współczesnym modelu kultury okresu urbanizacyjno-industrializacyjnego, a jednocześnie atrakcyjnej i przystępnej dla młodego współczesnego odbiorcy. Nowi idole: Ray Charles, James Brown, Aretha Franklin, Wilson Pickett, Janis Joplin, Otis Redding są wyznacznikami zjednoczenia miłośników popu, dając młodym ludziom idealny kreacyjny potencjał sztuki

MUZYKA POPULARNA - ZABAWA, HANDEL, CZY SZTUKA?

i jej tworzenia w sposób spontaniczny. Tak zwane „groups psychodeliques” tworzące formy undergroundowe jak: Frank Zappa — Mothers of Invention, Jefferson Airplane, Grateful Dead, Pink Floyd stają się symbolem protestu i buntu.

Elektroniczny eksperyment Soft Machine, Nice, Deep Purple i innych głównie amerykańskich grup psychodelicznych były krokiem w kierunku łamania sztywnych kategorii dotychczasowych estetycznych walorów muzyki pop. Były być może — również — „odrutką” na tzw. Liverpool Sound czwórki sympatycznych „Beatlesów” i ich epigonów: Monkees, Hollies, Bee Gees, Easy Beats itp.

Mniej więcej pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy duże triumfy odnosiły zespoły będące miernikiem udanego alliansu jazzu z rockiem (Chicago, Blood, Sweet and Tears) kiedy odrodzenie przeżywały formy bluesowe (J. Mayall, J. Winter, Eric Clapton, Ten Years After, Canned Heat,

Paul Butterfield itp.) seria tragicznych zgonów wyznacza koniec pewnej ery. W krótkim czasie umierają Brian Jones, Jimi Hendrix, Janis Joplin i Jim Morrison. Zaczęło ich określać mianem „wielkich zmarłych”. Odejdzie tak wielu idoli — zmarłych jak się przypuszcza na skutek nadużycia narkotyków, jak to w niektórych wypadkach stwierdzono — wywołano niepewność, zaskoczenie i lek.

Jak pisze Goerge Melly: „Hippisi z połowy lat sześćdziesiątych zwrócili się ku miłości. W jednej z dziel-

nic San Francisco rozprzestrzeniła się „flower power”, aby wkrótce ogarnąć cały zachodni świat. Haszysz i marihuana były ich chlebem powszednim, środki halucynogenne świętymi sakramentami, a ci muzycy byli kapłanami ich religii. Poprzez własną śmierć potwierdzili oni swą indywidualną czystość, a zarazem zamianowali, że ciężar walki o zmianę świata był zbyt wielki, aby go udźwignąć. Również doniosłym faktem, podsycającym narastającą falę rozczarowania, była decyzja kilku z popularniejszych sław, a w szczególności Micka Jaggera, Jagger — najbardziej grubiański, bezkompromisowy bicz normalnego świata, nagle zmienił front. Nie tylko się ożenił, ale na dodatek dokonał tego konformistycznego aktu na południu Francji, w atmosferze snobistycznego luksusu. Jednocześnie dał się poznać jako bywalec międzynarodowej elity towarzyskiej. Ubrany w supermodne, biseksualne stroje stał się postacią szokującą i kontrowersyjną.

„Później Marc Bolan zaczął posługiwać się makijażem i występować w seksownie dwunastych strojach ozdobionych złotymi świecidełkami. Dekadentcki rock, przynajmniej w Anglii, wyszedł z dziesięciolecia pokoju popu. To prawda, że na jednym końcu skalę próby łączenia popu z jazzem trafiają w upodobania mniejszości, podczas gdy na drugim wszechwładny Osmond fascynują głównie dziewczęta w wieku dojrzewania. Wszystko jest wielkie, nie licząc się z niczym zabawa, ale zarazem niezależnie od profesjonalnej doskonałości, brak tu jednak twórczej inwencji”.

Prawdziwe dzieło „telewizyjnej ery”, amerykańscy bracia Osmond są przeciw białą kopią murzyńskiej grupy „Jackson Five”. Również w publiczności ma już dosyć nawalu modernistycznych fraz McLaughlina, Zappi i „King Crimson” i dlatego też cukierkowe głoski braci Osmond w „Puppy Love”, „Young Love” (Donny Osmond), czy też przebojowy album „Long haired lover Liverpool”, 10-letniego wówczas (1972 r.) Jimmy'ego trafiają na podatny grunt. Gdy 29 października 1973 r. w Heathrow lądował samolot wiozący braci Osmond — na lotnisku oczekuje blisko 10 tysięcy młodych ludzi obojętnych. Całkowicie dezorganizowany ruch; odwołane loty samolotowe, przez kilka godzin zamknięty ruch kolejowy itd. itp. Skąd my to znamy? Czy Osmond-mania przewyższy beatleso-manię? Nie, chociaż w latach następnych „Osmonds” otrzymali aż 10 „Złotych płyt”, podczas gdy dotychczasowi rekordziści w najlepszych swych latach uzyskali: Elvis Presley (dziewięć) i „The Beatles” osiem. I w ten sposób pop-music stała się ponownie show-businessem. Kwestie komercyjnego znowu wysuwają się na pierwszy plan. Cudowna podróży Beatlesów z małego liverpoolskiego klubu do największych hal i stadionów świata stała się powszechnym wzorem do naśladowania również i w roku dominu 1980...

ANDRZEJ JÓZWIAK

FILM

W ostatnim dziesięcioleciu trzy polskie filmy postawiły problem nieuchronności zyciowej, zrutynizowanego życia rodzinnego i zawodowego. Były to: „Bilans kwartalny” Zanusiego, „Pani Bovary to ja” Kamińskiego i najnowszy — właśnie na ekranach — film Antoniego Krauzego „Podróż do Arabii”. Trzy bohaterki tych filmów — to kobiety szczęśliwe do momentu, w którym staje się jasne, że nie może się w ich życiu wydarzyć. Ucieczka od codzienności, życia zracjonalizowanego, uporządkowanego prowadzi Martę i Anię z dwu pierwszych filmów do kłeski, która polega — co najbardziej przerażające — na poczuciu, że teraz — po próbie buntu — na prawdę już nie jest nie czeka. Martę obezwładnia fakt, że każdy wybór zamknięcia możliwości dalszego wybiegania. Bohaterkę „Pani Bovary to ja” skazywał na niepowodzenie jej własny, wewnętrzny świat oczekiwań — mogła buntować się tylko w granicach nakreślonych przez jej wyobraźnię. Inaczej wygląda droga do rezygnacji Anny z filmu Krauzego. Jest bardziej skomplikowana, pozostaje w jej historii więcej niejasnych pur-

nych konwencji układu przyzwoitego-skutkowego przedstawianych faktów — jeżeli nawet nie w konstrukcji, to w odbiorze przez widzów. Tymczasem w „Podróż do Arabii” fakty są ważne jedynie o tyle, o ile wpływają na przemiany w życiu wewnętrznym. Jednocześnie właśnie wówczas — co paradoksalnie — film okazuje swoją bezradność. Mogąc wkraczać w głąb świata zindywidualizowanego, skrajnie osobistego — skazany zostaje jedynie na prezentację, gorzej radząc sobie z przekładem psychicznych motywacji na język obrazów. Stąd może zbyt dosłowny, pojawiający się parokrotnie w filmie obraz fatamorgany w tytułowej Arabii. Zagrożenie komunikatywności filmu jest niebezpieczne tym bardziej, że nadzernym układem wobec świata utworu Krauzego jest opozycja życia gotowego, egzystencji danej, zgodnej, bezpiecznej (jakże pozornie) wobec rezygnacji. Rezygnacji, która czeka na koniec bohaterkę filmu. Efektu rozczerwienia, życia przynależnego z przynus — ale własnego, o genezie utrwalonej we własnym, tragicznym doświadczeniu.

Krauze odbierając swojej bohaterce spokój, poddając w wątpliwość życiową stabilizację, pełnione role matki i żony —

FATAMORGANA

któw. Podobnie jak było to przed laty w debiucie fabularnym Krauzego — „Palcu bożym”, po którym reżyser zrehabilitował tylko jeden film — nie pozbawiony socjologicznych ambicji „Strach”.

W „Podróż do Arabii” mamy do czynienia z sytuacją trochę podobną jak w filmie debiutanckim. Wydarzenia nie starają się liczyć na pełne zrozumienie i widza, trudno poszukiwać dla nich jakichkolwiek motywacji poza indywidualnym przeżyciem. Nie zmienia to jednak faktu wyjątkowej intensywności emocjonalnej filmowego świata. Zarzuty nieprawdopodobieństwa psychologicznego „Podróż do Arabii”, jakie pojawiały się w prasowych omówieniach można by odeprzeć powołując się właśnie na całkowitą indywidualność świata, bezcelowość jego racjonalizacji. W sytuacji, gdy dotychczasowe życie zaczyna zrazu niepostrzeżenie ujawniać pozorność swojej nieuchronności, gdy okazuje się, że sposób życia jest bardziej zgodą wobec społecznej konwencji niż rezultatem świadomego wyboru — bohaterka dostrzega przypadkowość tego kim jest, co robi, z kim żyje, gdzie pracuje. Świat dotąd zrozumiały zaczyna ujawniać niepokojące pustkę, nieoświetlone miejsca. Nieznajomy chłopak, który z jej powodu próbuje popełnić samobójstwo, niejasne zachowanie koleżanki i jej zaskakująca śmierć, szpital psychiatryczny i wreszcie coś zupełnie nieuchwytnego, pojawiającego się prawie niezauważalnie pomiędzy Anną i mężem zmarłej przyjaciółki. Te wszystkie zagadkowe (na płaszczyźnie psychologicznej) wydarzenia umieszczają się bardziej na skali przeżyć wewnętrznych, gdzieś, w głębi świadomości i podświadomości (podstawową częścią filmu jest retrospekcja wydarzeń przypominanych w trakcie hipnozy) niż na płaszczyźnie fabularnej. Niestety film musi spłacić należną da-

przy okazji, jakby mimochodem ujawnia w „Podróż do Arabii” także sprawę najbardziej istotną — przyczynę jałowości życia i buntu wobec niej. Są nią wzajemne kontakty pomiędzy ludźmi: Anną i jej mężem, zakochanym w niej chłopakiem, przyjaciółką, znajomymi. We wszystkich przejawia się ta sama cecha: egoizm, jakby naturalna niemożność porozumienia, kosmiczne odległości pomiędzy bliskimi ludźmi, ledwie zarysowujące się związki uczuciowe z góry skazane na niespełnienie. Silnie uwewnętrzniona perspektywa oceny świata przycięta w filmie pogłębia ten prawie Sartre'owski punkt widzenia. Jego przełamaniem może być tylko ton wręcz ewangeliczny, jaki pojawia się w momencie podjęcia przez Annę decyzji o pozostaniu w szpitalu psychiatrycznym — aby poświęcić się dla chorych. Po niedługim czasie następuje kolejny etap samopoznania: gdy pobyt w szpitalu przestaje być jednoznaczny z obecnością przy zakochanym w bohaterce niedoszłym samobójcy — pozostaje już tylko powrót do poprzedniego życia. Powrót z pełną świadomością własnych ograniczeń, z całkowitym poczuciem konieczności pełnienia funkcji. Jest to jedyne wyjście — efekt gorzkiego pogodzenia się z losem. A zarazem początek następnych wydarzeń — tym razem w nieoczekiwanej, choć egzotycznej i wspaniałej Arabii. Wszystko dotąd było tylko fatamorgana.

„Podróż do Arabii” podejmuje problematykę moralną — tak mocno obecną w filmie ostatniego okresu — w sposób wyjątkowy. Niezwykłość przeżyć Anny okazuje się jednak złudna, gdy spojrzymy na nie z perspektywy pytań podstawowych: o cel i sens życia. Może wówczas film Krauzego wyda się mniej egzaltowany, mniej historyczny.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

TEATR

Bohaterkę „Kopciuszka” Perrault ratują dobra wroźka, gołębie i księżka; na nędzy Kopciucha Głowackiego chcą ubić swoje interesy: Zastępca Dyrektora domu poprawczego i Reżyser. Bajka o Kopciuszku, przełożona na język nie-bajki, mówi przerażającą prawdę o świecie, w którym dorastająca Kopciucha, świecie niewiarygodnym, a przecież jednak istniejącym, udokumentowanym tekstami, zeznaniami, rozprawami sądowymi.

Janusz Głowacki był współautorem scenariusza „Psychodramy”, filmu dokumentalnego zrealizowanego przez Marka Piwowarskiego. Toczyła się wokół tego filmu dyskusja dotycząca moralnych granic publicznej ingerencji w życie pensjonariuszek poprawczaka; Głowacki w „Kopciuchu” kontynuuje tę dyskusję, ale też ją poszerza.

Kiedy bowiem spróbujemy rozszyfrować intencje Reżysera, okaże się, iż obok pragnienia odniesienia sukcesu, co jest głównym motywem jego działania „chce on również drażyć, na swój sposób, prawdę o życiu dziewcząt z poprawczaka, chce dociec, dlaczego one są, jakie są, co je ukształtowało. Rychło okaże się, że samo odkrywanie prawdy poprzez techniki, jakimi się ten proces posługuje, jest nie tylko ingerencją w życie drugiego człowieka, ale również, przez wytworzenie mechanizmów obronnych, staje się fałszowaniem prawdy. Bohaterki „Kopciucha” odgrywają nie tylko sceny z bajki, lecz również ze swego życia; te ostatnie jednak tak — by spełnić oczekiwania Reżysera. Książka mówi wręcz sformułowaniami z gazet („największą szkodę zrobił mi kolektyw koleżeński...”),

inne dziewczęta także chwytają w lot narzuconą konwencję, robią wszystko, aby się wydawało, że „pekły” bo wiedzą, że wtedy zapisuje się im to na plus. Nie pękają jedynie Kopciuch najwartościowsza bodaj z dziewcząt, najbardziej wyraźnie zarysowana osobowość. Zaczyna się więc walka o to, by włożyć ją w schemat wyobrażeń, a w konsekwencji pozbawić godności. Ręczyć można, iż po tej operacji dziewczyna będzie gorsza niż była.

Nielatwa to sztuka do grania, z jej przenikającymi się planami (plan „realny” — życie rzeczywiste poprawczaka, plan marzeń — „nawijanie” w cel, plan psycho-

NIE-BAJKA O KOPCIUSZKU

dramy — praca nad bajką, plan filmowy, kojarzący wątki z wszystkich planów), a także stylizacja, to weryczna, to znów umowna, skonwencjonalizowana, sięgająca aż do satyrycznego skrótu (postać Inspektora). Aby ją zagrać przekonywająco, trzeba niemałej aktorskiej giętkości i konsekwencji w budowaniu poszczególnych scen. I tego, i tego, w premierze Teatru Powszechnego najwyraźniej brakowało. Zbyt często bohaterowie „Kopciucha” grają wprost do widowni, przez co sytuacje, które powinny zamknąć się same w sobie, nabierają cech ostentacji. Odnosi się to zwłaszcza do fragmentu rozgrywanego się w celi dziewcząt — do opowieści Kopciucha.

Ale i inne sceny przydałoby się przeanalizować pod kątem — co, lub kto — jest ich osi; wynikłoby z tego, jak sędze, dalsze różnice stylistyczne, różne odcienie znaczeniowe.

Aktorki w rolach dziewcząt budują rolę

w oparciu raczej o obserwację zewnętrznych cech zachowania, niż o głębszą analizę; wyraźnie się przez to odczuwa, że najbardziej „grają” te postaci, niż nimi „są”, na scenie. Niezbity mocno poza rolę Księżki, zarysowane są także ich cechy indywidualne; jeszcze raz to świadczą o niedostatkach analizy psychologicznej.

Niewielu aktorów wychodzi z przedziałnic — poza Mieczysławem A. Gajdą (Z-ca Dyrektora) i Barbarą Sześciak (Księżkę) — obronną ręką. Dołożyć można jeszcze do nich epizodyczne role filmowców, ale tutaj zadania były proste. Bronisław Wrocławski zagrał Reżysera na jednym tonie — płytkiego koniunkturalisty — zwracając zresztą uwagę bardziej na sposób zachowania niż na sposób myślenia w związku z czym cała „afera” z kreowaniem filmu staje się przykrym incydentem; a przecież, tak sędze, Głowackiemu nie chodziło o incydentalną postawę niedowarzonego filmowca, lecz o sprawę znacznie szerszą — o mentalność, która pozwala traktować dziewczęta z domu poprawczego tak, jak kolonizatorów — „podludzi” z buszu. A więc instrumentalnie, pod pozorem wnoszenia cywilizacji.

Reżyserowi premieri, Romanowi Kłosowskiemu, zabrakło chyba kilkunastu prób, by przedstawienie nabrało zważności, a aktorzy mogli głębiej wniknąć w tworzone przez siebie postaci. Mimo to jednak ostatnia premiera Teatru Powszechnego jest godna zauważenia; mimo niedostatków sygnalizuje treści, które żywo obchodzą widownię.

JERZY KATARASIŃSKI

Teatr Powszechny w Łodzi, „Kopciuch” Janusza Głowackiego. Reżyseria: Roman Kłosowski, scenografia: Jerzy Michalski, muzyka: Bogdan Pawłowski. Premiera — 24 maja 1980 roku, premiera prasowa — 28 maja.

skapstwo i chęć, ale także brak uczuć rodzinnym, obłuda, udawana sympatia.

Tak więc, pomimo, że jest to lektura typowo wakacyjna, „lekka, łatwa i przyjemna”, to nie pozbawiona odrobiny lirycznego smutku nad marnością nas samych i refleksji nad naszym często nie zawsze sensownym gonieniem za rzeczami.

Jack M. Hohensee, „Teatr nonsensacji”, „Iskry”, W-wa 1980, str. 158, cena 2 zł.

PRZYNIESIONE Z LASU

Sezon łowiecki dawno za nami. Do lasu można się co najwyżej wybrać na spacer i podglądanie przyrody. Ale ponieważ pogoda raczej radzi zrezygnować z tych wycieczek, to pewną namiastką może być książka o przygodach i ekawych spotkaniach, jakie są udziałem myśliwych.

Książka Jana Edwarda Kucharskiego jest nieco nietypowa, jeśli chodzi o tego rodzaju twórczość. Jest opisaniem przyrody, to prawda, ale jest także swobodnym zapisem nasyconych, zmieniających się czasów. Autor, zapalony myśliwy, od lat krąży po całej Polsce w poszukiwaniu jak najlepszych terenów łowieckich. Zna każdy zakątek naszego kraju i za każdym powrotem w znane sobie okolice widzi zmiany, jakie w nich zachodzą, widzi budujące się miasta, pamięta, jak wyglądały miejsca, na których stały wielkie zakłady pracy. Huty kojarzą mu się z sukcesami bądź klęskami w polowaniach, trochę mu żal tych straconych już na zawsze zielonych terenów, ale jednocześnie dumny jest z rozwoju gospodarczego kraju, z budujących się miast, piękniejących wsi.

Książka składa się z kilkunastu krótkich, opowiadań, a właściwie impresji. Każde z nich jest zamkniętą całością, jest opisem jakiegoś zdarzenia, którego przypomnienie wywołuje u autora chwilę zadumy, refleksji. Jest to uroczą książką, z przyjemnością się ją czyta. Przepiękny, prosty i czysty język, subtelne opisy, nieco humoru, a nade wszystko widoczna w każdym zdaniu głęboka mądrość człowieka, który wiele przeżył, wiele widział

i swoją głęboką radością z powodu rzeczy dobrych pragnie podzielić się z czytelnikami.

Jan Edward Kucharski, „Przyniesione z lasu”, „Czytelnik”, W-wa 1980, str. 200, cena 2 zł 30.

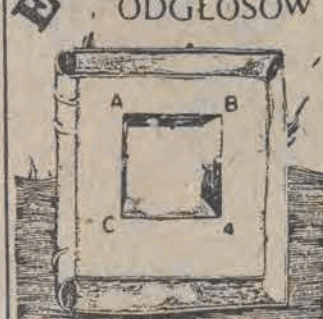
UWODZICIEL

Zbigniew Nienacki kojarzy nam się głównie z literaturą dla młodzieży. Ogromną popularność zdobyły książki z serii „Pan Samochodzik”. Ale nie mniej znany jest także jako autor książek dla dorosłych. Najlepszym dowodem wydana ostatnio przez Wydawnictwo „Pojezierze” po raz drugi w ciągu dwa lat powieść Zbigniewa Nienackiego, przeznaczona wyłącznie dla dorosłych pt. „Uwodziciel”. Pod tym frapującym tytułem kryje się równie interesująca treść. Autor przywołuje na karty książki całą swoją wiedzę z zakresu psychologii, psychologii, seksuologii i literatury miłosnej, żeby opisać i „uwiśnić” czytelnika. Wprowadza do powieści bohaterkę, mitycznego Martina Evena, „naukowego” uwodziciela kobiet. Nie był on ani przystojny, ani wytworny, po prostu kochał kobiety. Nie zwracał im w głowach, jak się często określa męskie działania, ale pragnął je uszczesliwić.

Alle historie związane z działalnością Evena stanowią niewielką tylko część książki Nienackiego. Większość to osobiste przemyślenia autora na temat stosunków kobiety — mężczyzny, rodzicieli — dzieci, matka — córka, ojciec — syn. Wiele z nich na pewno jest sądów zbyt pochopnych, nieprzemyślanych, obliczonych na efekt i zainteresowanie czytelników. Wiele niewątpliwie w nich jest umyślnie kontrowersyjnych, pobudzających do przemyśleń i refleksji. Z wieloma możemy się nie zgadzać, ale prawda jest że wielkim osiągnięciem Nienackiego jest przekazanie w formie fabularnej, a pozbawionej pikanterii wiedzy niemal medycznej z zakresu seksuologii.

Zbigniew Nienacki, „Uwodziciel”, Wydawnictwo „Pojezierze”, Olsztyn 1980, str. 424, cena 2 zł 50.

Ex-LiBRis
ODGŁOSÓW



TEATR NONSENSACJI

Książka, która z całą odpowiedzialnością może polecić czytelnikom na wakacje, jest „Teatr nonsensacji” Jacka Hohensee. Ten zbiorek dwunastu opowiadań zawiera przebiegłe historie. Bohaterami wszystkich są ludzie dla których pieniądze stanowią największą wartość. Opieka się dla nich popełnić zbrodnie, okraść kogoś czy oszukać. Każde z opowiadań jest mini-kryminałem, gdzie intryga godna jest samej Agaty Christie, a zbrodniczość to ludzie bez skrupułów i gotowi na

wszystko. Ale, niestety, każdego z nich przesładowa pech. W momencie, gdy wszystko zdaje się prowadzić do szczęśliwego końca, niespodziewanie pojawia się ktoś, kto demaskuje szybko zbrodniczą działalność i sprawiedliwość triumfuje.

Historyjki na pozór banalne, ale pod powierzchnią tych nieco komicznych, mroźnych krew w żyłach opowieści, kryje się wiele prawd o naszym współczesnym życiu, o nas samych. Każda z historyjek jest opisaniem jakiejś naszej wady. Najczęściej jest to

Wyobraźmy sobie małą kłakę wyspę — o średnicy powiedzmy 50 metrów — pośród ogromnego, pustego oceanu. Rośnie na tej wyspie kilkadziesiąt drzew małych i dużych, dołem krzaki, łązki, polanki; żyją tam ptaki, trochę myszy, kretów, wiewiórek — i mnóstwo owadów. Najwięcej jednak żyje mrówek. Niezmierznie pracowitych, cierpliwych, odważnych i mądrych mrówek.

Wiadomo — mrówka na ocean się nie wypuści. Całym światem jest dla niej własna wyspa, reszta — to trudny do pojęcia kosmos. Czasem z tego kosmosu wypłyne na wyspę coś tajemniczego, czasem da się to nawet praktycznie wykorzystać, ale opanować tego się nie da. Żeby jakoś zaplanować, uintensywnić, usprawnić — szkoda gadać.

Można natomiast usprawniać i uintensywniać samą wyspę. Mrówki czynią to od pokoleń z coraz większą wprawą i skutecznością. Nie ma centymetra kwadratowego, którego by nie spenetrowały. Organizują się coraz lepiej, czasem się przy tym pokłóca, pobija — ale w sumie ich stopa życiowa ciągle rośnie, śmiertelność statystycznie spada, przyrost naturalny zwiększa. Mrówki strzelają coraz wyżej w górę, już pod każdym drzewem sterczy parometrowy stożek, kłębiący się milionami mieszkalców. Zapobiegliwa codzienność krzątająca tych milionów

wydeptała już płataninę gładkich jak beton ścieżek, a siatka tych ścieżek gęstnieje i zamienia dawne życiodajne trawniki, mszary, zarosła — w gólkę, zatłoczone do niemożliwości płaszczyzny.

W śluku coraz częściej dochodzi do awantur. Całe mrówiska padają ofiarą sąsiadów, a walka kończy się bezpardonową likwidacją milionów mrówek o troszkę innym sposobie kiwania różkami, które to kiwanie jest jak wiadomo mrówczym sposobem porozumiewania się, czyli — w przełożeniu na ludzi — mrów-

nicę. Instytutem udało się zmusić drzewa do podwójnej ilości liści. Coś, kiedy zanim na jednym drzewie liczbą liści się podwoi — giną trzy drzewa sąsiadnie, a liczba mrówek wzrasta trzykrotnie. Uczeln ślepnęła do korzeni. Miliony mrówek wgrzyzły się na wielkie głębokości, odkryły tam wielkie bogactwo jadalnych korzonków, opracowały wspaniałe metody eksploatacji tych skarbów. Po dziesięcioleciach dopiero okazało się, że gryząc korzenie likwiduje się roślinność na ziemi, a wraz z nią — ułnemo-

przez te tysiące. Raz czy dwa podskakiwał się skądś nad ocean, a nawet udało mu się wydostać gdzieś w odległości dwustu kilometrów na coś wystającego z fal, co okazało się nagim głazem. Poza tym nie, tylko pożyty ocean — co ma tu do gadania mrówka?

Nie wiemy, co będzie się jeszcze działo na wyspie. Spróbujmy to sobie wyobrazić. Nie żyje tam już nie oprócz mrówek, wgrzyzających się w coraz głębsze, coraz starsze, martwe od wieków korzenie. Te korzenie też się kiedyś skończą...

Ten bardzo smutny, beznadziejny obrazek napisałem po przeczytaniu w gazecie danych statystycznych, zebranych w Związku Radzieckim. Oto w ciągu lat 1919-1979, czyli dokładnie w czasie mojego życia — liczba ludności na świecie wzrosła z 1,8 miliarda do 4,4 miliarda. W ciągu jednego życia! Ta wyspa — przepraszam, ta nasza Ziemia — przecież się nie rozciąga! Te podwołone liście jednych drzew kosztują nas stratę potrojnej ilości innych drzew! Co na tej wyspie — pardon, na Ziemi — będzie się jeszcze działo?

CWIĘK

ZWYCIĘSTWA, KTÓRE NIE CIESZĄ

Robi się często kibicom żart, że domagają się zwycięstwa za wszelką cenę, że tylko zwycięstwo ich satysfakcjonuje. I oto mamy dwa przykłady, które przeczą takim zarzutom. Nasi kolarze zajęli trzecie miejsce drużynowo w tegorocznym Wyścigu Warszawa — Berlin — Praga. I nikt jakoś z tego powodu nie podskakuje do góry, nie krzyczy z radości. Wręcz przeciwnie. Zdobywcy trzeciego miejsca mieszczą się jeszcze na pudle, jest to w końcu brązowy medal, ale satysfakcja z tego żadna. I nie tylko dlatego, że kibice chcieliby pierwszego miejsca, przeciwnie, kibice zadowoliliby się trzecim miejscem, gdyby było ono rezultatem dobrej jazdy, wysokich umiejętności, którym przeciwnicy przeciwstawili umiejętności jeszcze wyższe. Ale kibice — inaczej niż szkoleniowcy — jest przekonani, że nasi byli źle do tego wyścigu przygotowani, że popełniali rażące błędy, że brakuje im różnych umiejętności, że reprezentują średni poziom, który nikogo nie powinien zadowalać.

Przykładem drugim niech będzie piłka nożna. Po meczu naszej reprezentacji z reprezentacją Szkocji pojawili się niesmiałe głosy, że dobrze na nasze samopoczucie zrobi wygrana ze Szkocją po całej serii porażek i remisów. Ale też zaraz się wszyscy zastrzegali, że wygrana ta padła w meczu, który był żenującym widowiskiem. Tylko trener Ryszard Kulesza powiedział przed telewizorami „Sportu”: — „Później graliśmy już lepiej, w drugiej połowie dobrze, a momentami bardzo dobrze”. Ryszard Kulesza cęchuje nie tylko ujmujące uśmiech, ale bardzo dobre samopoczucie oraz niewątpliwie wrodzony optymizm, który każdemu cieszy się ze wszystkich. Jest to cecha wielu naszych szkoleniowców i posiadają ją również ci panowie, którzy odpowiadali za wyniki naszych kolarzy.

Nie chcę być złośliwym, ale najciekawszym momentem relacji ze spotkania piłkarzy w Poznaniu była przerwa, w czasie której dokonano losowania „Matego Lotka”. Oglądając ten z zasady nudny program nie było powodu za nikogo się wstydzić. Zostały tu w całej rozciągłości spełnione założenia taktyczne i zamierzony cel osiągnięto przy pomocy znakomitej techniki. Z techniką naszych zawodników na boisku było znacznie gorzej.

Tego samego dnia wieczorem telewizja pokazała nam futbol na wysokim, europejskim poziomie. Mając w pamięci nieudolność naszych reprezentantów można było sobie uświadomić miejsce, do którego spadliśmy

w europejskiej piłce nożnej. Refleksje z tego powodu nie były przyjemne. Nie wiem, czy piłkarze oglądali pojedynek dwu najlepszych europejskich klubowych drużyn piłkarskich. Jeśli tak, to chyba policzki mieli czerwone ze wstydu.

Mając świadomość różnic w wyszkoleniu i przygotowaniu naszych najlepszych i najlepszych w Europie, w tej czy innej dziedzinie sportu, można mieć pretensje do zawodników, klubów, działaczy, trenerów. Mówi się na przykład, że taką mamy piłkę nożną w reprezentacji, jaką mamy w klubach I ligi. Jest w tym jakaś prawda. Ale skoro uświadomiamy sobie, że poziom naszej I ligi daleko odbiega od poziomu ligowych klubów w innych krajach, to nie prostszego jak intensywną pracą brakuje do likwidacji i stawiając coraz wyższe cele doganiać najlepszych. Tymczasem u nas dzieje się coś odwrotnego. Obserwujemy jakby rozmazywanie celów, obniżanie poziomu, dążenie do średniości.

Na przykład w Wyścigu Po-

koju potworzono tyle różnych klasyfikacji, tyle wymyślono kolorowych koszulek, że można zadowolnić się którąś tam klasyfikacją i uznać to już za sukces, tracąc z pola widzenia cel zasadniczy, zwycięstwo indywidualne i drużynowe w generalnej klasyfikacji.

Podobne zjawisko obserwujemy również w piłce nożnej. — „Wygraliśmy zwycięstwo, lecz zbyt niskie” — powiada po meczu ze Szkocją Ryszard Kulesza. Jest to opinia całkowicie rozmiatająca się z tym, co widzieliśmy na ekranie telewizora. Widzieliśmy bowiem ogromną nieskuteczność strzelecką naszych piłkarzy oraz brak zgrania, nieumiejętność celnego podawania i tak dalej. Przy czym Szkoci nie byli najslabiejzym i najlepiej przygotowanym przeciwnikiem. I o czym tu mówić?

Powstać więc pytanie: czy szkoleniowcy tego wszystkiego nie widzą, czy tylko udają, że nie widzą? Czy ich permanentny optymizm jest udawany, czy faktyczny? Czy pod opowieściami o taktyce nie kryje się czasem brak jakiegokolwiek koncepcji? Wnioski z odpowiedzi na te pytania nasuwają się same.

BOGDA MADEJ

TELEWIZJA

O telewizyjnych programach dla dzieci pisze się rzadko albo wcale. I całkiem niesłusznie. Trudno jednak wymagać, aby recenzent oglądając w Tv mniej więcej tyle ile statystyczny widz, miał jeszcze czas na publicystyczne weryfikacje audycji dla najmłodszych. Poza tym nasze dorosłe gusty kształtowane na „Aniołkach Charliego” i „Pogodzie dla bogaczy” mogą się całkowicie rozmiąć z upodobaniami widowni „Teleranka”. Gdyby wziąć pod uwagę reakcje, fascynacje i komentarze dzieci zasiadających przed telewizorami, trzeba byłoby programom dziecięcym wystawić najwyższe noty. Sądzę, iż dzieci znają lepiej ramowy układ programu Tv niż my, dorośli. W poniedziałek wiadomo, „Zwierzyniec” (opowieści Michała Sumińskiego przypominają często anegdoty Fiszera relacjonującego swoje spotkanie z wilkami), we wtorek show królika Bugsa, w środę „Skakanka”, w czwartek Telewizja Dziewcząt i Chłopców, w piątek i sobotę znów coś, czego nie należy przepiąć, a w niedzielę „Teleranek” czyli dziecięce „Studio 2”. No i codzienne dobranocki. Czas tej audycji w domach gdzie są dzieci jest czasem świętym: rodzice przemierzają po mieszkaniu na palcach, na później odkładają wiertarki, miksery i odkurzacze i z przysmakami tych drzwi podglądają najnowsze przygody Reksia. Niedawno wyświetlono film w którym dzieci zdemaskowały eferenowskiego kidnapera właśnie dzięki Dobranocko. Złoczyńca skrupulatnie planując porwanie nie przewidział, iż w rozmowie z dziećmi może wynikać sprawa ostatniej przygody Pani Sroki. Na nic się zdały wykryte, że nie ma telewizora, że nie lubi telewizji, Panią Srokę powinien znać. Przegrał więc. I ja, choć nie rozumiem o żadnym skoku, od czasu do czasu towarzyszę moim chłopcom przed małym ekranem. Tak na przykład przyszło mi oglądać trzy odcinki najnowszej serii o Muminkach. Któż z nas nie zna literackiego pierwowzoru w siedmiu księgach (wydawcy zapowiadają tomy następne) autorstwa Tove Jan-

sson? Otóż to. Do dziś dnia są to bestsellery, którymi zaczytywali się i dorodzi znużeni Robbe-Grilletami i Butorami. Poezja, humor i mądrość stanowią niepodważalną wartość tych małych książeczek. Nielatwa to materia dla adaptatorów, tym bardziej, iż Muminkowy świat jest baśnią, który z trudnością poddaje się antropomorfizacyjnemu stereotypom. Nie podołali tym trudnościom realizatorzy serialu, który stał się dosyć przypadkowym zestawieniem ruchomych obrazków. Halaśliwa ilustracja muzyczna, głos narratora, który sprawdził się w opowieści o Rumcajsie, a który tutaj

MUMINKI, DOBRANOCKI I „XYZ”

odebrał opowieści Tove Jansson jej wszystkie poetyckie akcenty, są głównym mankamentem najnowszej produkcji „Semafora”. A szkoda. Mogłoby to być serial prawdziwie znakomity.

Od lat narzeka się na niedostatki filmów dla dzieci i młodzieży. Rzeczywiście w kinach tego rodzaju repertuar jest sensacyjną rzadkością. Dlatego też cała odpowiedzialność w spełnianiu życzeń młodocianej widowni spada na telewizję. Myślę, iż te obowiązki Tv wypełnia w sposób prawie że zadowalający. Fakt, że podczas ostatniego festiwalu w Olsztynie jednym z seriali, który znalazł uznanie w oczach jury, był film dla młodzieży „Gazda z Diabelnią”, świadczy o tym wyraźnie. Ten tytuł, a wcześniej „Rodzina Leśniewskich”, historia

Majki Skowron i inne (tytułów nie pamiętam, a syn w szkole — nie mam kogo zapytać) pozytywnie odbijają na tle produkcji zagranicznej, którą również raczy nasze dzieci TvP. Piszę z przekąsem „raczy”, bo tamte filmy zbyt prostacko przenoszą konwencje fabuły o romantycznych detektywach i ich przeciwnikach w świat dziecięcej rzeczywistości (np. angielska „Niezwyciężona piątka”).

Swoją drogą dzieci, gdyby im tylko pozwolić, oglądałyby z takim samym entuzjazmem komisarza Maigret i „Czterdziestolatka”, opowieść o pszczołce Maji i „Kariery Nikodema Dyzmy”. Na szczęście chodzą do szkoły, odrabiają lekcje, grywają w piłkę, wieczorami zasypiają rozmawiając o Bolku i Lolku. Nie muszą się irytować czarnobiałą rzeczywistością, która codziennie przepływa przez mały ekran. Nie muszą wysłuchiwać dyskusji, porad i komentarzy. Nie oglądali ostatniego programu „X Y Z”. Bo podobnie jak i my dorośli, znużeni niby to dowcipnym gaworzeniem w pierwszej części programu Niny Terentiew zajęliby się czymś poważniejszym. Audycja ta była najlepszym argumentem potwierdzającym opinię, że publicystyka kulturalna w TvP bardzo często zawiera się w bon motach, „lekościach” i quasi-zabawie. Postać Bronisława Zielińskiego, jednego z najwybitniejszych współczesnych tłumaczy — jak okazało się w drugiej części programu — zasługuje na audycję z prawdziwego zdarzenia, a nie na towarzyszą pogawędę. Jeśli chcemy popularyzować w telewizji największe osiągnięcia naszej kultury, to robimy to w sposób taki na jaki ona zasługuje. Nie-kiedy ma się wrażenie, iż redaktorzy Tv chcą odfajkować jakieś zalecenia swoich szefów, zalecenia wynikające z rzeczywistych potrzeb społeczno-kulturalnych, posługują się tzw. wypróbowanym wzorem. Powinniśmy popularyzować literaturę, pisarzy i twórców? Proszę bardzo — zaprosimy Bronisława Zielińskiego do „X Y Z”. Był o nim program? Był. Kogo tam jeszcze mamy w kolejce?

GRZEGORZ GAZDA

WYSOKA LOKATA

Jak w „Sztandarze Młodych” obliczył Bogdan Maciejewski w 1980 roku będziemy mieli 327 imprez kulturalnych wysokiej rangi i około 100 rangi mniejszej. Statystycznie 1,2 imprezy przypada na jeden dzień w roku. Jest to jedna z dziedzin naszego życia, w której bez najmniejszego wątpienia statystycznie osiągnęliśmy najwyższy poziom światowy.

Zys.

DO WARSZAWY BOSO

„Żywoć Gospodarczy” (ukazujący się na łamach „Życia Gospodarczego”) donosił ostatnio, że na Dworcu Centralnym w Warszawie wywieszono ostrzeżenie, zabraniające wchodzenia na schody ruchome w obuwiu na podszewkach ze sztucznych tworzyw. A ponieważ są to podszewki powszechnie używane, więc po przyjeździe na Dworzec Centralny trzeba teraz zdejmować buty i boso wchodzić na ruchome schody.

S.Z. Peracz

Opowiadanko

STARY MUNDUR

W opuszczonym pokoju w szafie wisiał huzarski mundur mego pradziadka. Zakradłem się kiedyś do tego pokoju i włożyłem mundur. Ledwie stanąłem przed lustrem, aby przyrzeć się sobie, ktoś zapukał do drzwi.

— Wejść!
Weszło dwóch huzarów.
— Panie poruczniku, już pora. Przed domem stał powóz. Oni towarzyszyli mi kołono. Dojechaliśmy do podmiejskich lasów. Tu już na nas czekało. Mój przeciwnik też był oficerem, ale stopnia nie umiałem odróżnić. Staliśmy naprzeciw siebie. Padły strzały. Obudziłem się w swoim łóżku. Wszystko było tak, jak zostawiłem, zakradając się do opuszczonego pokoju. Tylko prawe ramię mnie boleło. Odczyliłem koszulę. Na ramieniu miałem świeżo zbliznowiałą ranę.

ZYGMUNT STARYK

ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

FRASZKI SZEKSPIROWSKIE

JULIUSZ Cezar

Ten najgłośniejszy krzyzał swoje moritury, kto pierwszy się zabrał do dźgania skóry.

ROMEO I JULIA

Kłękaj się skłóciła „Story of Verona”. Widać przedawkował reżyser verona!

NIEDŹWIEDŹ W TATRACH

Z Zakopanego donoszą, że w Dolinie Chochołowskiej pojawił się niedźwiadź. Głodny zwierzę zbliżyło się do siedzib ludzkich, głównie do schronisk.

Nie tak dawno w Tatrach również był niedźwiadź, nawet pokazano go w telewizji. Ale ktoś go zastrzelił!

Oby teraz było inaczej!!!

Azor

DOBROWOLNIE

W radiu kierowców, w telewizji, kiedy mówi się o ruchu kołowym na naszych drogach, ciągle słyszę o tych, którzy uczestniczą w wypadkach drogowych. I zawsze mam ochotę zapytać, czy robili to dobrowolnie?

P.I.Eszy

SZTUCZNA WODA

W piątkowym magazynie Studia Gama (30 maja 1980 roku, program I) zespoły rozrywkowe ułożono na bezludnej wyspie. Wyspę taką zbudowano w studiu. Wodę morską udawał poruszający się plastik. Było to brzydkie, kiczowate wręcz. Już lepiej było odwołać się do wyobraźni telewidza. U telewidzów wyobraźnia też się zdarza. I częściej niż u telewizyjnych twórców.

K. A. Pryśny

Ze sportu

STARSZYM TO DOBRZE!

Kiedy ich starsi koledzy przegrywają lub remisują wiele się na ten temat mówi i pisze, rozrywają się szaty, narzeka o skardze i lamentuje. Kiedy juniorzy piłkarzy w Lipsku zdobyli srebrny medal w turnieju UEFA cicho o tym i spokojnie. Nikt nie liczył, że juniorzy cokolwiek osiągną w turnieju.

W związku z tym nikt z działaczy sportowych PZPN nie kwapił się do wyjazdu (mało atrakcyjnego, bo tylko do NRD), a młodym piłkarzom nowe buty dano na... kilka godzin przed meczem. Grał w starczych, bo w nowych podparzaliby sobie nogi. Zrobiono więc wszystko, aby młodych zniechęcić do piłki nożnej. Wygodnie! Widać, że niepo- wodzeniami starych, niż zajmować się młodymi.

K. I. Bie.



Melduję, że u mnie wszystko zapieczętowane ostatni guzik!
Rys. Andrzej Adamowicz

1/3

mini magazyn

MIECZYSLAW
MICHAŁ SZARGAN

LATKI ADRESATKI

NA „ZALECANKI” W. PUSZA
W „OSNOWIE”

A to ci heca!
Pusz do Lece
Się zaleca.

NA JARMARK ŁÓDZKI

Ćwierkają na dachach wróble:
„Przyleciały na Pletynę
buble!”